

MARGARET BARKER

A jednak ty

Tytuł oryginału: All For Love

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Vicky przystanąła na szerokich stopniach nowego szpitala Northdale General i spojrzała na lśniąca czystością, imponującą fasadę. Oczami duszy wciąż widziała stary, zniszczony budynek, który stał tu dawniej i w którym zdobywała swoje pierwsze doświadczenia zawodowe, zanim dziewięć lat temu podjęła studia medyczne. Teraz Northdale ma się czym poszczycić!

- Ups! Przepraszam!

Portier, który wbiegał po schodach, wpadł na jej walizkę. Vicky schyliła się, by usunąć ją z drogi, ale starszy pan pierwszy ujął za uchwyt.

- Pozwól, że ci pomogę, złotko - powiedział serdecznie.

- Pewnie się denerwujesz. Przyszłaś tu tak zupełnie sama? Masz dużo rzeczy. Poważna operacja, co?

Uśmiechnęła się. Wieki minęły, odkąd tu pracowała, ale nie zapomniała Jimmy'ego Pearsona, jednego z najzyczliwszych pracowników szpitala. W tamtych czasach, jeśli

chodzi o hierarchię personelu, każdy stał wyżej od łaskawie tolerowanej panienki tuż po szkole, która zatrudniła się na krótko jako salowa, żeby zobaczyć, jak naprawdę wygląda szpitalne życie.

- Nie jestem pacjentką, Jimmy - rzekła, idąc za nim po schodach do głównego wejścia. - Nie pamiętasz mnie? Jestem Vicky Parker. Kiedyś...

- Coś takiego! - Portier z hukiem postawił walizkę na czyściutkiej terakocie. - Pewnie, że cię pamiętam. Obcięłaś włosy, prawda? Bardzo szykowna fryzura! A pod czepkiem salowej były długie i owinięte wokół głowy. Pojechałaś do Londynu studiować medycynę. No i jak? Jeszcze cię nie wyrzucili?

- Można powiedzieć, że wyrzucili - zaśmiała się Vicky.

- Ale na odchodnym dali mi dyplom.

- Chcesz powiedzieć, że jesteś lekarką? - Jimmy osłupiał.

- Ale przecież... ty jesteś za młoda... nawet nie wyglądasz na lekarkę.

- Dzięki za słowa otuchy - rzuciła Vicky z udawanym oburzeniem. - Faktem jest, że mam lat dwadzieścia siedem i już od trzech stwarzam zagrożenie dla niczego nie podejrzewającego społeczeństwa.

- Ależ ten czas leci! - Jimmy podniósł porzuconą walizkę. - Muszę zacząć zwracać się do ciebie z należnym szacunkiem. Szczerze mówiąc, nie wierzyłem, że przez to przebrniesz. No wiesz, ty i Mark Marshall... Byłem pewien, że jak tylko znajdziecie się w Londynie, dasz sobie spokój z medycyną i wyjdiesz za mąż. Myślałem, że... O Boże, zupełnie zapomniałem! Vicky poczuła, jak ogarnia ją znajoma fala strasznego smutku, jak zawsze, gdy ktoś wspomniał przy niej Marka. Ile trzeba czasu, by przestała boleć strata kochanego mężczyzny?

Przyjaciele mówili, że czas leczy wszystkie rany, ale u niej leczenie trwa już zbyt długo. Przywołała na twarz wymuszony uśmiech, który miał uspokoić ludzi i wyjaśnić, że najgorsze już za nią.

- Nic nie szkodzi, Jimmy. To było dawno; powoli zapominam.

- No to, Vicky... to jest, pani doktor... zaprowadzę panią do części hotelowej.

- Jesteś bardzo miły, Jimmy. Proszę, mów mi po imieniu.

- O nie! - Portier był wyraźnie zaszokowany. - No dobrze, skoro sama proponujesz, żeby już postawić kropkę nad i, będę cię nazywał „doktor Vicky”.

Uśmiechnęła się, tym razem szczerze.

- Doskonale.

Westchnęła z ulgą, że udało jej się opanować. Z tym miejscem wiązało się tyle wspomnień, że będzie musiała mocno trzymać się w ryzach.

Szli pospiesznie długim korytarzem. Kremowe ściany zlewały się z oślepiająco białym sufitem. Czuła się jak narciarz na stoku. Miała ochotę włożyć okulary przeciwsłoneczne.

- A więc co przyciągnęło doktor Vicky z powrotem do tej dziury?

- Korzenie, Jimmy, korzenie. Gdzieś trzeba je zapuścić. Nie była to pełna prawda, ale sprawi mu przyjemność.

- Myślałbym, że taka młoda dziewczyna będzie wołała światła wielkiego miasta. Nie jest tu dla ciebie trochę za spokojnie?

- Dość się już grzałam w światłach wielkiego miasta.

Teraz nastawiłam się na spokojne życie. Będę pewnie spędzać trochę czasu na farmie Marshallów.

- Tak. Zawsze byliśmy sobie bliscy. Urodziłam się i wychowałam na sąsiedniej farmie, a po wyjeździe moich rodziców do Australii oni byli dla mnie jak rodzina. Portier zatrzymał się przed tablicą u wejścia do części mieszkalnej. Powiodł palcem po liście nazwisk personelu medycznego.

- Jest: doktor Victoria Parker, pokój dwadzieścia siedem.

A niech to! "Widziałem to przecież rano i nic mi się nie skojarzyło. Przyniosę klucze.

Vicky zaczęła, aż Jimmy otworzy.

- Dziękuję za wszystko - rzekła z ciepłym uśmiechem.

- Jak to dobrze, że trafiłam akurat na ciebie.

Nie umknął jej uwagi cień rozczarowania w jego oczach, gdy zamykała drzwi, ale nie miała ochoty przeciągać tego pierwszego przesłuchania. Zdawała sobie sprawę, że jej powrót w stare pielesze jest równoznaczny z zaproszeniem

wszystkich duchów przeszłości, by o niej nie zapomniwały. Rozejrzała się po przestronnym pomieszczeniu, które miało stać się jej domem na sześć miesięcy, a może nawet dłużej, jeśli obie strony zechcą przedłużyć kontrakt. Tak, z pewnością jest postęp w porównaniu z niechlujnymi pokojami

lekarzy w starym szpitalu. Właściwie nie była w nich. Tylko ten raz...

Uśmiechnęła się pod nosem, wspomniawszy, jak pewien młody chirurg zaprosił ją do swojego pokoju na kawę. Jakże jej to pochlebiło! Miała osiemnaście lat, dopiero skończyła szkołę i była przeraźliwie naiwna. Całe szczęście, że Mark dorabiał sobie wtedy jako portier. Gdyby nie zaczął walić pięściami w drzwi, straciłaby zapewne coś więcej niż złudzenia!

Kochany, kochany Mark! Przełknęła napływające łzy. Usiadła na kanapie przy oknie i wyjrzała na dziedziniec szpitalny.

Oczami duszy zobaczyła Marka znowu takim, jaki był pięć lat temu, gdy oboje walczyli o przyjęcie na medycynę. Jasne włosy opadały mu na czoło i tak komicznie naśladował starego profesora Browna, że wprost dławiła się ze śmiechu. Dwa dni później zabrali go do szpitala. Samotna łza spłynęła po policzku. Czy Mark wiedział, że jest śmiertelnie chory, gdy proponował, by się jak najszybciej pobrali?

Ze ściśniętym gardłem patrzyła, jak przed główną bramę wjeżdża karetka na sygnale. Kilka osób wybiegło z wózkiem i zajęło się przekładaniem nań nieruchomej postaci z noszy. Nagły przypadek, tak jak u Marka. Vicky gorączkowo zapragnęła, żeby mu się udało, żeby żył. Gdyby Mark

pożył jeszcze dwa tygodnie, zdążyliby wziąć ślub. Energicznie podniosła się z kanapy. Weź się w garść, dziewczyno, powiedziała sobie. Przyjechała tu, żeby dojść do ładu ze swoją przeszłością, nie żeby ją boleśnie rozpamiętywać.

Mark nie chciałby, żeby spędzała życie na ponurych rozmyślaniach.

O trzeciej miała się spotkać z doktorem Hartleyem Dawsonem,

konsultantem na chirurgii. Na pewno nie wzbudzi jego entuzjazmu w wygniecionym podróżnym stroju.

Otworzyła walizkę i zabrała się do rozpakowywania. Część rzeczy od razu powiesiła w zajmującej całą ścianę sosnowej szafie, a resztę rozłożyła na biurku. Uporządkuje to później, w wolnej chwili. Zdjęcie Marka stało tam, gdzie zawsze: na szafce przy łóżku.

Zmywając z siebie pod prysznicem brud kolei brytyjskich, cieszyła się, że będzie pracować w nowym środowisku.

W Londynie było świetnie, ale nadszedł czas na zmianę.

A Hartley Dawson będzie wymarzoną nauczycielką.

Uważano go za jednego z najlepszych angielskich specjalistów

od przeszczepów nerek. Gdyby tu był w czasie choroby Marka, może wszystko potoczyłoby się inaczej.

Już ubrana, rzuciła okiem na swoje odbicie w lustrze.

Tak, ta prosta granatowa spódnica z fałdą z tyłu wygląda nobliwie. Słyszała, że jej nowy szef nie toleruje u swoich podwładnych ekstrawaganckich strojów. A biała bawełniana bluzka przypominała czasy liceum żeńskiego w Northdale. Zdjęła z wieszaka jeden z nieskazitelnie czystych, wykrochmalonych

białych fartuchów, które zastała w szafie.

W sam raz na jej średni wzrost. Zawiesiła stetoskop na szyi i uznała, że jest gotowa. Jeśli zajdzie potrzeba, może zaczynać natychmiast.

Pokój szefa chirurgii znajdował się na końcu długiego, oślepiającego białą korytarza. W tym odcinku higieniczne

plytki ustąpiły miejsca puszystemu dywanowi w kamiennozarym

kolorze, zajmującemu całą szerokość podłogi, domyśliła się zatem, że zbliża się do sanktuarium.

- Proszę!

Głęboki, donośny głos był dziwnie młody jak na Hartleya Dawsona. Gdy otwierała drzwi, zabrzmiały jej w uszach pytania, którymi ten wielki człowiek bombardował ją, drżącą, podczas rozmowy kwalifikacyjnej.

Zatrzymała się i spojrzała na mężczyznę przy masywnym, dębowym biurku. Chyba weszła do niewłaściwego pokoju! Mężczyzna podniósł na nią wzrok znad swoich pism medycznych. Poznała go od razu... i nie był to Hartley Dawson. O, nie. To był ktoś, kogo nie widziała od pięciu lat, ktoś, kogo po tej przeklętej nocy miała nadzieję nigdy nie zobaczyć.

Odetchnęła głęboko.

- Przepraszam, widocznie pomyliłam pokoje. Jestem umówiona z panem Hartleyem Dawsonem.

- Hartley Dawson wyjechał do pracy w Stanach. Otrzymał atrakcyjną propozycję. Kierownictwo szpitala poprosiło mnie, żebym go zastąpił. - Mówiąc to, wstał i wyciągnął dłoń. - Jestem Adrian Ferguson.

Wiem, odparła w myślach. Jest pan tym chirurgiem, który nie zgodził się przeszczepić Markowi nerki. Automatycznie podała mu rękę. Z ociąganiem podniosła wzrok na gładką twarz o klasycznych rysach, okoloną ciemnymi włosami opadającymi na szerokie czoło. Ogarnęło ją gwałtowne pragnienie, by uciec z tego pokoju, od tego człowieka, który podpisał wyrok śmierci na jej niedoszłego

męża, ale profesjonalne opanowanie zwyciężyło.

Inaczej niż tamtej nocy przed laty, gdy krzyczała, usłyszawszy,

że doktor Adrian Ferguson postanowił przeszczepić jedyną zgodną nerkę innemu pacjentowi, co oznaczało, że Mark wraca na listę oczekujących.

- Zechce pani usiąść, doktor Parker.

Przez stos papierów napotkała spojrzenie ciemnych oczu. Przyglądały jej się bacznie, zupełnie jak pięć lat temu. Pamiętała wszystko, jak gdyby to było wczoraj. Stała wtedy na korytarzu oddziału dializ. Adrian Ferguson mijał ją pospiesznie w drodze na blok operacyjny. Spytała, czy nerka, którą przysłano tego wieczora, jest zgodna z grupą krwi i antygenami tkankowymi jej narzeczonego. Przystanął i powiedział, że nie ma czasu rozmawiać. Spieszy się na zabieg. Gdy powtórzyła pytanie, odpowiedział, że właśnie będą przeszczepiać tę nerkę innemu pacjentowi. To był ów moment, gdy Vicky straciła panowanie nad sobą i dała się ponieść rozpaczliwym emocjom. Pamięta do dziś, jak błagała, jak żebrała...

Z trudem otrząsnęła się z bolesnych wspomnień. Chirurg pochylał się w jej stronę ze zmarszczonymi brwiami.

- Czy myśmy się już gdzieś nie spotkali? Kilka lat nie było mnie w kraju, ale może wcześniej, gdy pracowałem w Londynie?

- Spotkaliśmy się pięć lat temu - odpowiedziała martwym głosem - gdy mój narzeczony, Mark Marshall, czekał na przeszczep nerki.

Obserwowała jego twarz w chwili, gdy wyraźnie coś sobie przypominał. Przez moment wyobrażała sobie, że wygląda, jakby go to zbiło z tropu. W każdym razie taką miała nadzieję.

- Tak, przypominam sobie panią - powiedział spokojnie.

Wzrok, który przewiercał ją na wskroś, nie zdradzał emocji. Nic dziwnego. Vicky już tamtej nocy stwierdziła, że ten człowiek pozbawiony jest ludzkich uczuć. To robot, choć utalentowany; inteligentny robot zaprogramowany na przeprowadzanie ratujących życie operacji. Ale umiał też zniweczyć wszelką nadzieję i obrócić ludzkie życie w ruinę.

Odwróciła głowę do okna, by nie dojrzał łez w jej oczach. Wyciągnęła chusteczkę i energicznie wytarła nos.

- Przepraszam - rzuciła chłodno. - Mam katar sienny.

Dokucz mi zawsze, kiedy wracam do Yorkshire.

- Rzeczywiście. - Zerknął w leżące przed nim papiery.

- Widzę, że pochodzi pani z tych stron. Dlaczego postanowiła pani wrócić?

- Chciałam pracować u Hartleya Dawsona. Uważałam, że dużo się od niego nauczę.

- A teraz jest pani rozczarowana i żałuje, że nie została w Londynie.

- Czy to aż tak widać?

- Wygląda pani, jakby chciała mnie zamordować! Mam tylko nadzieję, że zgodzi się pani na małą zwłokę; za pół godziny mam przeszczep. Właśnie w tej chwili usuwają nerkę dawcy. Potem dokończymy dyskusję. Pani najwidoczniej

ma obiekcje przed pracą ze mną, a i ja nie jestem pewien, czy chcę panią widzieć w moim zespole.

- Ależ Hartley Dawson mnie przyjął! - Vicky już się opanowała. - Wybrał mnie z długiej listy kandydatów. On by nie...

- Nie kwestionuję pani kwalifikacji, pani doktor. - Jego głos zabrzmiał ostro. - Mówię o przypuszczalnych animozjach osobistych. O ile sobie przypominam, przy naszym ostatnim spotkaniu wykazała się pani brakiem opanowania, wręcz histerią. Szpital nie jest odpowiednim miejscem dla takich zachowań.

Vicky zerwała się na równe nogi. Musiała się oprzeć o biurko, żeby nie stracić równowagi.

- Byłam młoda, jeszcze studiowałam. Mój narzeczony był śmiertelnie chory. Potrzebował przeszczepu. Nerka była, więc błagałam pana...

- Jedną chwileczkę, pani doktor.

Lekarz sięgnął po brzęczący telefon. Vicky starała się oddychać głęboko. Czy naprawdę chce tu zostać? Mogłaby teraz po prostu wyjść.

Ale to byłby samobójczy strzał. Młodzi lekarze są na łasce konsultantów. Tacy mogą z tobą robić, co im się żywnie podoba.

- To był blok operacyjny. Są gotowi szybciej, niż się spodziewałem. Obawiam się więc, że musimy odłożyć naszą dyskusję. - Zawahał się. - A może zechciałaby się pani

umyc i dołączyć do zespołu?

Zielone oczy Vicky zapłonęły.

- Chyba nie mówi pan poważnie!

- Całkiem poważnie. Po tej histerycznej scenie uznałem panią za ostatnią osobę, która mogłaby się nadawać na lekarza. Ale chciałbym zobaczyć, co pani umie, i trudno o lepszą okazję. Chyba że, zważywszy pani popis w przeszłości,

nie ma pani odwagi stanąć ze mną do operacji.

Taka bezczelność na moment wprawiła ją w osłupienie.

Jak on śmie do tego stopnia przeinaczać fakty! To przecież ona padła ofiarą, a on był przyczyną jej cierpienia! Ale pokaże mu! O, tak, pokaże mu, co jest warta!

- Oczywiście, że chętnie się przyłączę - odparła stanowczym, spokojnym głosem, który nie zdradzał jej myśli.

Ruszył do drzwi i otworzył je na oścież.

- Będzie to próba dla nas obojga. Ale ostrzegam, młodszego asystenta łatwiej zastąpić niż konsultanta.

ROZDZIAŁ DRUGI

Patrząc na Adriana Fergusona przez stół operacyjny,

Vicky nie mogła oprzeć się refleksji, że w zielonym stroju chirurgicznym wygląda jeszcze bardziej nieprzystępnie.

W przypływie nagłego strachu pożałowała, że zgodziła się na tę maskaradę, wkrótce jednak uprzytomniła sobie, że to nie zabawa. Stawką jest życie pacjenta. Teraz trzeba

skoncentrować

się wyłącznie na tej nieruchomej postaci spowitej w jałowe serwety.

Z przeciwnej strony stołu mrugnęła do niej znad maski oddziałowa bloku operacyjnego. Vicky nakazała sobie spokój.

Dobrze pamiętała zawsze życzliwą Pam Harrison. Ona z pewnością rozumie, jak Vicky może się czuć tego pierwszego

dnia.

Nie, nie ma powodów do zdenerwowania. Asystowała

przecież w Londynie przy podobnych operacjach, a i pod-
tawy

teoretyczne ma w małym palcu. Fakt, że jest na noże
z operatorem, nie może mieć dla niej znaczenia.

- Skalpel - zażądał Adrian Ferguson.

Dłoń Pam w gumowej rękawiczce wyłowiła potrzebne
narzędzie z lśniącej w świetle jarzeniówek, imponującej
wystawy. Jak zwykle przy pierwszym cięciu, Vicky poczuła
dreszcz emocji. To było jak wkroczenie na nowe terytorium.
Nigdy nie wiadomo, co się znajdzie podczas operacji.
W tym jednak wypadku największą niewiadomą był przebieg
pooperacyjny.

- Geoffrey Goodall, dwadzieścia pięć lat, mężczyzna,
niewydolność nerek na tle gruźliczym - przedstawił przypadek
Adrian Ferguson, otwierając jamę brzuszną. - Doktor
Parker, proszę mi odsłonić prawy dół biodrowy.
Reakcja Vicky była automatyczna.

- Przypuszczam, panie doktorze, że zamierza pan zostawić
obumarłe nerki? - usłyszała swój własny głos.

Trochę drżała, ale chciała zaznaczyć, że nie zamierza
być tylko jeszcze jednym narzędziem w rękach chirurga.
Wydawało jej się, że jego maska przelotnie drgnęła. Cień
uśmiechu?

- Słusznie pani przypuszcza.

Jego ton znów ją onieśmielił. Postanowiła do końca
operacji odzywać się tylko wtedy, jeśli to będzie absolutnie
konieczne.

Adrian Ferguson skończył przygotowania. Nie podnosząc
głowy, zażądał nerki dawcy.

Vicky ze wszystkich sił pragnęła, by jej palce nie zadrżały
przy odwijaniu cennego narządu. Wiedziała, że
i operator, i cała reszta zespołu patrzają teraz na nią.

- Proszę się nie spieszyć, pani doktor - rzucił lekko
Adrian Ferguson. - Zawsze, kiedy patrzę na tak opakowaną
nerkę, przychodzi mi na myśl, że wygląda jak prezent.
Spojrzenie Vicky napotkało jego wzrok. Podawała mu
nerkę.

- Bo też nim jest - odparła spokojnie.

Mimo pozorów opanowania poczuła, jak dreszcz przebiega jej po kręgosłupie. Nigdy dotąd nie pomyślała o Adrianie Fergusonie jako o mężczyźnie. Dotychczas był po prostu wrogiem.

A przecież jest mężczyzną, i to chyba nieprzeciętnym. A jego biegłość operacyjna jest niekwestionowana. Mogłaby się od niego nauczyć nie mniej niż od Hartleya Dawsona... zakładając, że zaproponuje jej, by została.

Wspólnie ulokowali nerkę w jej nowym miejscu. Operacja przebiegała gładko. Połączono naczynia krwionośne i moczowód.

- Oto chwila prawdy - mruknął Adrian Ferguson zdławionym głosem. Nawet on nie był w stanie ukryć napięcia.

- Zwalniamy kleszczyki.

Vicky ogarnęła fala ulgi. Przeszczepiona nerka wypełniła się krwią tętniczną i nabrała zdrowej, różowej barwy.

Niemal natychmiast cewnik zaczął odbierać mocz.

W poczuciu satysfakcji zamykali jamę brzuszną. Oby tylko nie było powikłań pooperacyjnych.

Adrian Ferguson przekazywał zlecenia siostrze Harrison.

Vicky widziała, jak Pam przytakuje skinieniem głowy.

Większość czynności była zwykłą rutyną. Przez ręce Pam przeszły niezliczone rzesze takich pacjentów, ale zawsze uważnie słuchała, co chirurg ma jej do powiedzenia. Taka już była.

Vicky nie miała już tu nic do zrobienia. Wyszła z sali operacyjnej, po drodze ściągając maskę.

Gdy szła spieszenie korytarzem, usłyszała za plecami swoje nazwisko. Poznała głos Adriana Fergusonona.

Zrównał się z nią i dopiero teraz zauważyła, że jest nie tylko o głowę od niej wyższy, ale także bardzo mocnej budowy. Na sali operacyjnej nie miała czasu przyglądać się jego muskularnej sylwetce. Całą uwagę skupiła na dłoniach.

- Kiedy się pani przebierze, proszę wstąpić do mojego gabinetu - rzekł spokojnie. - Dokończymy naszą rozmowę.

Słyszałem od siostry oddziałowej, że jest pani silnie związana z tym szpitalem.

- Pracowałam tu jako salowa w czasie wakacji, zanim

zaczęłam studia. Było tu wtedy bardzo swojsko. Ale wszystko się zmieniło nie do poznania. Została tylko stara apteka. Fakt, że ma wartość zabytkową...

Ze zdenerwowania mówiła coraz szybciej. Niemal czuła na sobie ciekawe spojrzenia mijających ich ludzi.

- Pójdę się przebrać-dokończyła pospiesznie.-O której mam być u pana?

Zawahał się.

- Musimy omówić wiele tematów. Pomyślałem, że może dobrze by nam zrobiła rozmowa mniej oficjalna. Zechce pani zjeść dziś ze mną kolację?

Vicky zaparło dech w piersiach. Spojrzała mu w twarz.

- Dlaczego?

Przez chwilę wydawał się zaskoczony.

- Co dlaczego?

- Dlaczego miałabym iść z panem na kolację? Uważam, że bardziej owocna będzie rozmowa na terenie szpitala.

W uszach zabrzmiał jej ostrzegawczy dzwonek. Wiedziała, że przekracza granice, ale nagle przestała się tym przejmować.

- Sądzę, że jeśli mamy pracować razem, powinniśmy przełamać lody. Inaczej nie ma sensu, żeby pani tu została. Nie chcę pani wypominać tego, co się zdarzyło pięć lat temu. Pani zdenerwowanie w obliczu informacji, że ktoś tak bardzo pani bliski musi jeszcze czekać, było całkowicie

zrozumiałe. Ale jestem przekonany, że gdy przyszła kolej pani narzeczonego...

Urwał w środku zdania, zaskoczony wyrazem jej twarzy, spojrzeniem, w którym wrogość walczyła o lepsze z rozpaczą.

- Czyżby pan nie wiedział, co się stało? - spytała zdławionym głosem. - Nie ma pan w zwyczaju śledzić skutków swoich decyzji?

- Jeszcze tej samej nocy odleciałem do pracy na Daleki Wschód. Pani narzeczonego został umieszczony na pierwszym miejscu listy oczekujących. Sądziłem...

- Mark zmarł tydzień później - powiedziała cicho.

Na sekundę zamknął oczy. Trwał nieruchomo, jakby w modlitwie. Gdy przemówił, głos mu drżał.

- Nie miałem pojęcia. Strasznie mi przykro.

W pierwszej chwili Vicky obawiała się otworzyć usta.

Jej narzeczony nie żyje, a winowajca mówi, że mu przykro!

I to wszystko? Odwróciła się i rzuciła spokojnie, lecz dobitnie:

- Zważywszy pana rolę w tej sprawie, nie sędzę, żeby teraz miał pan ochotę zapraszać mnie na kolację.

- Przeciwnie. - Jego głos był znów stanowczy i opanowany.

- Tym bardziej potrzebna jest nam szczerza rozmowa.

Przyjadę po panią o ósmej.

Chciała zaprotestować, ale już go nie było. Odprowadziła wzrokiem oddalającą się, wysoką sylwetkę. Jego pewność siebie zdawała się niezmacona.

Poszła do swojego pokoju, wciąż wściekła na niego, że nawet nie raczył się zainteresować dalszymi losami Marka.

Czy to tak trudno zadzwonić do szpitala i zapytać?

Rzuciła ubranie i weszła pod prysznic. Gorąca woda stopniowo łagodziła jej gniew. Zaczęła sobie przypominać, ile to razy ona sama wychodziła do domu po dyżurze niespokojna o jakiegoś chorego, a potem musiała go przekazać

komuś innemu, bo szła na staż na inny oddział. I po kilku dniach cała jej troska skupiała się na następnych pacjentach.

Energicznie wtarła szampon we włosy. Tak, musi przyznać, że i jej się to zdarzało. Nikt nie jest w stanie przez

cały czas żyć problemami wszystkich pacjentów. Czasem

trzeba się odprężyć i zapomnieć o pracy. A skoro Adrian

Ferguson opuścił szpital jeszcze tej samej nocy, cóż, to go w pewnym stopniu tłumaczy. Sięgnęła po wielki, puszysty,

różowy ręcznik. Zaczęła się zastanawiać, w co się ubierze.

O wpół do ósmej była gotowa. Następne pół godziny

wydało jej się wiecznością. Powinna była odmówić. Mogła

mu przecież powiedzieć, że jest już umówiona. Może jeszcze teraz spakować rzeczy i wrócić do Londynu. Ale...

ten mężczyzna ją zaciekał. Tak, muszą sobie wszystko

wyjaśnić, inaczej nie będą mogli razem pracować. Przemierzała pokój tam i z powrotem. Miała na sobie nową sukienkę z zielonego jedwabiu, za elegancką jak na spotkanie z człowiekiem, którego darzy antypatią, ale nie chciała wyglądać w jego oczach na prowincjonalną gąskę. Znała tutejsze obyczaje towarzyskie. Tu, idąc do dobrej restauracji, ludzie ubierali się znacznie staranniej niż w Londynie.

Ale początek! - skonstatowała, zagłębiając się w kanapę i spoglądając w letnie, wieczorne niebo. Piękne lato. Sam Marshall pewno już zwozi siano. Musi ich jak najszybciej

odwiedzić. Pojedzie na farmę, gdy tylko się okaże, czy z tej pracy coś będzie.

Usłyszała pukanie do drzwi i wstrząsnął nią dreszcz. Może wielki chirurg już zdecydował, że nie chce jej tutaj. Może ta kolacja ma tylko złagodzić cios, żeby Vicky nie stwarzała problemów przy rozwiązaniu umowy?

Gdy otworzyła drzwi i zobaczyła go w progu, ogarnęło ją zdumienie. Nie wyglądał na poważnego chirurga na wysokim stanowisku. Ubrany był w zwykłe, codzienne spodnie, bawełnianą koszulę rozpiętą pod szyją, a na ramiona zarzucił granatowy, wełniany sweter. Zrozumiała, że zupełnie niepotrzebnie się tak wystroiła. Najwyraźniej za wiele się spodziewała.

Opuścił wzrok na jej pantofle na wysokim obcasie; atlasowe, dokładnie tego samego koloru co sukienka, jej największą radość i dumę.

- Myślę, że zdołam panią jakoś przenieść przez kałuże
- skomentował.

Zirytowana, spojrzała mu w twarz.

- Zaprosił mnie pan na kolację, nie na tańce w remizie!

- Rzeczywiście. - Uśmiechnął się. - Ale zapomniałem panią uprzedzić, że restauracja jest trochę nieszablonowa.

Jeść dają dobrze, ale nikt tam nie przychodzi w wieczorowym stroju. Dawno pani nie była w tych stronach, prawda?

Odwróciła się do niego plecami.

- Jeśli zechce pan chwilę poczekać, rozejrzę się za stosownym workiem i gumiakami, w które mogłabym się przebrać.

- Ależ proszę tego nie robić. Proszę tylko zmienić te pantofelki na coś bardziej płaskiego. Sukienka jest prześliczna.

Podkreśla kolor pani oczu i łagodzi płomień gniewu, jaki w nich dostrzegam.

- Te mogą być? - spytała po chwili, podchodząc do niego niższa o kilka centymetrów.

Były to najbardziej znoszone i toporne buty w jej garderobie

- brązowe sandały, które na pewno znalazłyby uznanie w oczach jej dawnej nauczycielki gimnastyki.

- Idealne!

Zatrzasnęła drzwi i ruszyła w stronę wyjścia dla personelu.

Przeszła obok portierni, świadoma, że jest obserwowana.

- Dobranoc, doktor Vicky.

- Dobranoc, Jimmy.

- Przysięgłbym, że ten portier do pani mrugnął - zauważył Adrian Ferguson, otwierając przed nią drzwiczki srebrzystego sportowego samochodu.

Vicky pozwoliła sobie na kpiący uśmieszek.

- I nie byłoby to krzywoprzysięstwo.

Wsunęła się na wąskie siedzenie. Uznała, że samochód jest śmiesznie szpanerski. Pasuje do niego jak ulał.

Z głębokim warkotem pojazd rzucił się naprzód. Vicky aż podskoczyła. Boże, cała wibruje! Ale to nie było aż tak nieprzyjemne. Właściwie całkiem miłe, kiedy się przyzwyczaić,

szczególnie gdy zostawili Northdale za sobą i skierowali się w stronę malowniczego Ravensdale.

- Miło w taki wieczór uciec na chwilę ze szpitala - powiedziała trochę do siebie. Ciepły wiatr rozwiewał jej włosy.

- Cieszę się, że się pani podoba. Myślałem, że przyjemnie będzie pojechać gdzieś dalej. W tych wyżej położonych dolinach jest coś niezwykle orzeźwiającego. W dzieciństwie spędzałem tu wakacje.

Rzuciła mu spojrzenie z ukosa.

- Trudno mi wyobrazić sobie pana jako dziecko, doktorze Ferguson.

- Nie zdołałaby pani się zmusić, żeby mówić mi po imieniu? Choćby w ten jeden wieczór? - spytał, nie odrywając oczu od szosy.

- Mogę spróbować. Czy to pomoże nam przełamać lody?

- Być może, jeśli wolno mi będzie zwracać się do pani Vicky, tak jak portierowi.

- On co prawda poprzedził moje imię tytułem, ale dla... ciebie mogę trochę zmienić regulamin.

Napawała się poczuciem, że ma nad nim w tej chwili przewagę. Ach, jakie to przyjemne! Niech się skręca. Zbyt długo cierpiała przez jego okrucieństwo.

Rozejrzała się po cichej dolinie. Może „okrucieństwo” to za duże słowo. Może on po prostu nie zdawał sobie sprawy, jak wielki sprawił jej ból. Ale ona mu to uprzytomnił Adrian przejechał przez wąską bramę i wzdłuż wysokich wapiennych murów dotarli nad sam brzeg rzeki, przez którą w najwęższym miejscu można było przejść po dużych, płaskich kamieniach. Po drugiej stronie Vicky zobaczyła przytulnie usadowiony nad wodą stary dom.

- Jesteśmy na miejscu - oznajmił Adrian i wyłączył silnik.

- Nigdy bym się nie domyśliła, że to jest restauracja - powiedziała, wpatrzona w sielski obrazek. - Myślałam, że to posiadłość prywatna.

- Kiedyś była - wyjaśnił z uśmiechem. - Należała do mojej ciotki. To właśnie do niej przyjeżdżałem na wakacje. Kiedy umarła, dom sprzedano, a pani, która go kupiła, urządziła w nim restaurację. Ale uszanowała życzenie

mojej ciotki, żeby do domu nie można było dostać się inaczej jak pieszo. A zatem musimy przejść po kamieniach.

Vicky odpowiedziała uśmiechem, spoglądając na swoje praktyczne obuwie.

. - Teraz rozumiem, dlaczego nie podobały ci się moje wysokie obcasy.

Gdy przytrzymał drzwiczki samochodu, ich ramiona się zetknęły. W głowie zadzwonił jej dzwonek alarmowy. On potrafi być naprawdę czarujący - jeśli chce. A dziś najwyraźniej chce.

Wieczorną ciszę mącił jedynie szum rzeki. Zapach świeżo żętego siana obudził w niej nostalgiczne wspomnienie dzieciństwa.

- Pomyśleć, że przyjeżdżałaś tutaj na wakacje - zauważyła, ująwszy ofiarowaną jej dłoń, gdy podeszli do brzegu.

- Mogliśmy się widywać.

Zaśmiał się wesołym, chłopięcym śmiechem, który rozwiął resztkę napięcia między nimi.

- Wątpię. Mam prawie czterdzieści lat. W tamtych czasach nie zwracałem wielkiej uwagi na niemowlaki.

- Ja mam dwadzieścia siedem - poinformowała go ironicznie.

- Aż tyle? - spytał z kpiącym niedowierzaniem.

Zatrzymał się. Stali teraz razem na środku rzeki, wśród łagodnie zdążającej naprzód wody. Kamień był duży, ale mimo to, gdy Vicky wyminęła Adriana, by przeskoczyć na następny, znaleźli się niebezpiecznie blisko siebie. Przelotnie spojrzała mu w oczy. Było w nich ciepło, którego przedtem nie zauważyła. Tak, ten facet stanowczo jest jednak istotą ludzką. Poczwała, że cieszy się perspektywą tego wieczoru. Nawet jeśli nic innego z tego nie wyniknie, satysfakcją

będzie choćby zmierzyć się z nim na inteligencję.

Zeskoczywszy na brzeg rzeki, spytała, czy właścicielka nie planuje budowy mostu.

Pokręcił głową.

- Ona nie prowadzi tego interesu dla zysku. Woli mieć dobraną, niezbyt liczną grupę klientów, których zna osobiście. Podobnie jak moja ciotka, nie wyobraża sobie chmary samochodów pod drzwiami.

Gdy wchodzili na obrośniętą wistaria werandę, Adrian ujął Vicky pod rękę, a ona się nie odsunęła. Zaskoczyło ją bijące od niego ciepło. Przeczyło to pojęciu, jakie sobie

o nim wyrobiła.

- Jakże się cieszę, że znów pana widzę, doktorze!

W progu powitała ich wylewnie kobieta w średnim wieku, cała w uśmiechach.

- Pozwoli pani, że przedstawię moją koleżankę, doktor Victorie Parker.

- Miło mi panią poznać, pani doktor. Proszę wejść i usiąść przy kominku. Czego się państwo napiją?

Usadowiwszy się na miękkiej kanapie, "Vicky rozejrzała się po przytulnym wnętrzu.

- Zupełnie jakby się przyszło z wizytą do wiejskiego domu przyjaciół, i to nie łamiąc sobie przedtem głowy nad prezentem dla gospodyni - szepnęła Adrianowi.

- Właśnie tak się tu czuję! - Z uśmiechem zajrzał jej w oczy. Jaka to ulga, że wreszcie się w czymś zgadzają. - I lubię u ludzi z tych stron to, że zawsze wieczorem rozpalają ogień na kominku. Nawet w pełni lata.

Vicky wzięła zaofiarowany jej przez gospodynię kieliszek likieru i zapatrzyła się w pełgające po grubych polanach płomienie.

- Na pewno wiele wspomnień wiąże cię z tym domem - szepnęła.

Ukojona atmosferą tak niezwykłego miejsca zastanawiała się, czy potrafiłaby zakopać topór wojenny i poznać bliżej tego intrygującego mężczyznę.

- O tak. Może kiedyś opowiem ci o tym i owym.

- Kiedyś? Czy to znaczy, że chcesz, żebym została w Northdale?

Odpowiedział jej enigmatycznym uśmiechem.

- Być może. - Jego ton brzmiał czujnie, a wzrok umykał przed jej spojrzeniem. - Mam nadzieję, że mi uwierzyłaś, kiedy mówiłem, że nie miałem pojęcia o śmierci twojego narzeczonego.

- Nie masz zwyczaju śledzić losów swoich pacjentów?

- Nie z drugiego końca świata. Jak już ci powiedziałem, jeszcze tego samego dnia odleciałem na Daleki Wschód. Pracowałem w szpitalu w Malezji i miałem zupełnie nowe problemy na głowie. Ale nawet nie o to chodzi. Rzecz

w tym, że w medycynie trzeba podejmować decyzje po rozważeniu wszystkich faktów w sposób racjonalny i bez emocji. Jeśli się tak postępuje, nie ma już miejsca na żal czy rozpamiętywanie.

- To znaczy, że uważasz się za nieomylnego? Nie dopuszczasz do świadomości czegoś takiego jak zwykła ludzka słabość?

- Przeciwnie, jestem tylko człowiekiem wraz ze wszystkimi ludzkimi słabościami. Lecz życie jest za krótkie, żeby się dręczyć decyzjami z przeszłości.

- I nigdy niczego nie żałujesz? - spytała miękko.

Pochylił się ku niej bardzo blisko. Zdumiał ją wyraz jego oczu. Wyczytała w nich wrażliwość, której by się nigdy nie spodziewała po tym wygadany, dobrze ułożonym, pewnym siebie szefie. A na samym ich dniu ujrzała prawdziwy smutek.

- Nie ma człowieka, który by czegoś w życiu nie żałował

- szepnął. - Ale to bezcelowe. Nie można cofnąć czasu.

- Państwa stół jest gotów, panie doktorze.

Vicky była tak zaskoczona odkryciem drugiej strony osobowości Adriana, że nie zauważyła gospodyni. Gdy wstawała z kanapy, Adrian znów ujął ją pod rękę. To było naprawdę miłe uczucie. Czy to możliwe, że źle go osądziła? Stół we wnęce rozjarzonej jadalni nakryty był białym, sztywnym od krochmalu obrusem. Zdobila go jedna róża na długiej lodydze. Nagle Vicky uprzytomniła sobie, że to klasyczna romantyczna kolacja, do której zasiada w towarzystwie

ostatniego mężczyzny, jakim we własnym mniemaniu mogłaby się zainteresować. Czy to możliwe, że pod tym pancerzem chłodu bije prawdziwe serce?

Łosoś rozpływał się w ustach, a i kotlety jagnięce były przepyszne. Posiłek uwieńczyły poziomki ze śmietaną. Rezerwa

Vicky wobec mężczyzny, którego twarz w migoczącym blasku świec wydawała jej się teraz fascynująca, stopniała całkowicie.

Odłożyła białą, nakrochmaloną serwetkę.

- Kolacja była naprawdę wspaniała, Adrianie.

No proszę, tym razem wypowiedziała jego imię bez cienia zakłopotania, choć musiała przyznać, że wino odegrało tu pewną rolę.

Wyciągnął rękę przez stół i ujął jej dłoń. Jego dotyk wzbudził w niej miły dreszcz. Kiedy to było, gdy ostatnio czuła uścisk męskich palców? Nie pozwalała na to nikomu... czy może raczej nie pozwalała sobie. Od śmierci Marka zdarzyła jej się jakaś jedna niezobowiązująca znajomość,

może dwie, ale ona za każdym razem się wycofywała.

Na pierwszy sygnał zainteresowania ze strony mężczyzny reagowała demonstracyjnym zwiększeniem dystansu.

- Pomyślałem sobie, że najlepsza droga do serca dziewczyny może prowadzić przez żołądek - odparł Adrian z szerokim uśmiechem.

- Ach, więc to o moje serce ci chodzi? - rzuciła żartobliwie.

- Zdawałoby się, że jako chirurg powinienes znać łatwiejszy, bardziej bezpośredni dostęp.

Pochylił się ku niej. Wciąż trzymał jej rękę, a nawet leciutko ją ku sobie przyciągnął.

- Myślę, że możemy być więcej niż kolegami. Możemy być przyjaciółmi - rzekł łagodnie. - Tylko nie daj sobą rządzić emocjom.

Zesztywniała i wysunęła rękę z jego dłoni.

- Ty nigdy nie dajesz się ponosić emocjom?

Chwilę milczał. Do świadomości Vicky po raz pierwszy dotarły stłumione dźwięki rozmów innych gości oraz ciche tło muzyki klasycznej. Wtedy przyszła odpowiedź, zimna i zdecydowana.

- Nigdy!

Targnął nią niepokój. Znowu wyrósł między nimi mur.

Teraz nie miała wątpliwości, że znajdują się na przeciwnych biegunach wrażliwości. Ludzkie oblicze, jakie w nim dostrzegła, było widocznie tylko wytworem jej wyobraźni.

- Panie doktorze, telefon do pana. Chyba ze szpitala.

Zechce pan podejść?

Na te słowa uprzejmej pani Gray Adrian zerwał się na

równe nogi. Vicky poczuła przyływ ulgi, że nie muszą już udawać przyjaźni i mogą powrócić na płaszczyznę medyczną. Na sali operacyjnej pracowało im się razem dobrze. To dowód, że sprawy zawodowe nie muszą być uzależnione od stosunków prywatnych.

Po kilku minutach Adrian wrócił.

- Dzwoniła siostra Harrison. Geoffrey Goodall ma wysoką gorączkę. Stwierdzono także tachykardię.

- O Boże! Odrzuca przeszczep!

Teraz Vicky zerwała się z krzesła.

- Niestety, na to wygląda. Chyba musimy wracać.

ROZDZIAŁ TRZECI

Vicky sprawdziła, czy kroplówka z dekstranu schodzi w odpowiednim, powolnym tempie, po czym nachyliła się nad łóżkiem, by dotknąć czoła pacjenta. Niestety, gorączka i przyspieszone tętno aż nadto rzucały się w oczy.

Całe szczęście, że Geoffrey spał i nie wyglądało na to, że cierpi.

Spojrzała pytająco na Adriana.

- Może podamy mu metyloprednizolon?

Adrian skinął głową.

- Siostra Harrison już go szykuje.

Vicky sprawdziła ssak i dreny, które zostawili w łożysku nowej nerki. Na oko wszystko było w porządku.

Zjawiała się Pam Harrison z metyloprednizolonem.

- Posiedzę przy nim, dopóki się nie okaże, czy opanowaliśmy odrzucenie - powiedziała Vicky cicho.

- Dzięki. - Pam uśmiechnęła się z wysiłkiem. - W takim razie pędzę do łóżka. Wieki temu skończyłam dyżur.

Masz na noc bardzo dobre pielęgniarki. - Zniżyła głos, tak że tylko Vicky mogła ją usłyszeć. - Przykro mi, że popsulałam wam randkę.

- Zmykaj, Pam - odszepnęła Vicky. - To nie była randka, więc nie spodziewaj się Bóg wie czego.

W tej chwili do sali wpadła pielęgniarka z oddziału.

- Doktor Ferguson jest pilnie proszony do izby przyjęć.

To znaczy, jak tylko będzie pan mógł, panie doktorze.

Adrian spojrzął na Vicky.

- Poradzisz sobie sama?

- Jasne.

Po chwili na oddziale zapanował niezwykle spokój. Pacjenci spali głęboko, tylko od czasu do czasu ktoś zachrapał lub zakasłał. Niewiele mogła zrobić: po prostu czekać i modlić się, by lekarstwa podziałały.

Znużona, opadła na krzesło przy łóżku chorego.

Musiała tak widocznie zasnąć, gdyż nagle wzdrygnęła się pod dotknięciem czyjejś dłoni. Przez żaluzje sączyło się blade światło świtu.

Młoda pielęgniarka przemówiła ściszym głosem:

- Chciałam pani tylko powiedzieć, że gorączka spada, a czynność serca jest już prawie w normie.

Vicky uśmiechnęła się z ulgą i rozprostowała ramiona, starając się oprzytomnieć.

- To wspaniale.

Wstała i pochyliła się nad pacjentem. Sprawdziła dreny i kroplówkę. Geoffrey otworzył szeroko oczy. Choć nadal był bardzo bladej i wyczerpany, uśmiechnął się słabo.

- Będzie coś ze mnie, pani doktor?

Vicky łagodnym gestem położyła mu dłoń na czole i odgarnęła

splątane, rude, kręcone włosy.

- Oczywiście, Geoffrey. Wczoraj napędziłeś nam stracha, ale teraz już jesteś na dobrej drodze.

- Nie znalazłoby się dla mnie jedno piwo? Można tu skonać z pragnienia!

Vicky ogarnęła falą ulgi, że Geoffrey ma siłę żartować.

Wskazała miarowo skapujący do żyły dekstran.

- Nie jestem pewna, czy piwo dożyłne byłoby dobrym rozwiązaniem. Obawiam się, że będziesz musiał jeszcze poczekać.

Za plecami usłyszała czyjeś kroki. Odwróciła się i zobaczyła Adriana Fergusona, zmęczonego i nie ogolonego.

Wyszła mu na spotkanie.

- Jak Geoffrey? - spytał.

Posłała mu znużony uśmiech.

- Myślę, że udało się powstrzymać odrzucanie. Czynność serca i temperatura się normalizują.

- Dobrze. Całe szczęście. Zaraz do niego zajrzę. - Przeczesał palcami ciemne, falujące włosy. - Dzięki, że tu zostałeś, Vicky. Ja spędziłem większość nocy na rozmowie z rodzicami chłopaka, który zginął w wypadku drogowym. Strasznie trudno znaleźć w takiej sytuacji słowa pocieszenia. Ten człowiek miał przy sobie deklarację dawcy, więc przynajmniej mogłem ich zapewnić, że nie zginął zupełnie nadaremnie. Jego narządy pozwolą żyć innym.

Myśli Vicky poszybowały na chwilę do tamtego strasznego dnia, gdy stała i błagała tego oto chirurga, żeby operował Marka, a nerka była tylko jedna.

- I to ich pocieszyło? - spytała cicho.

Skinął głową.

- To bardzo słaba pociecha, ale lepsza niż żadna. Przynajmniej mają świadomość, że jakaś częśćka ich syna żyje i pomaga innym.

- Wykorzystacie jego narządy tutaj, w naszym szpitalu?

- Tak. Jedna nerka jest zmiażdżona, ale drogą właśnie przygotowują do transplantacji.

- Wybraliście już biorcę?

Przytaknął.

- Operujemy dziś rano.

- Chcesz, żebym ci asystowała?

Chwilę się wahał, zanim odpowiedział.

- Nie, lepiej się trochę prześpij. Widziałem już wczoraj, co potrafisz.

Spojrzała na niego pytająco, zmieszana tym enigmatycznym oświadczeniem, ale z jego oczu nie dało się nic wyczytać. Zwróciła się do pielęgniarki:

- Proszę do mnie dzwonić, gdybym była potrzebna.

Będzie u siebie.

- Chwileczkę, pani doktor. - Oficjalny głos Adriana osadził ją w miejscu. - Chciałbym panią widzieć w południe w moim gabinecie.

Vicky odpowiedziała tylko skinieniem głowy. Nie

ufała swemu głosowi. Wychodziła z oddziału z nieprzyjemnym uczuciem. Słowa Adriana wciąż od nowa rozbrzmiewały w jej uszach. Widział już wczoraj, co potrafi. Na pustym korytarzu przyspieszyła kroku. Czyżby był z niej niezadowolony? Czyżby istotnie wczorajsza kolacja miała tylko złagodzić cios?

Ukryta w swoim pokoju, zrzuciła buty i padła na łóżko. Była koszmarnie zmęczona, ale sen nie przychodził. Ze wszystkich stron otaczały ją odgłosy porannej krzątaniny. Próbowwała zebrać siły, żeby wziąć prysznic, i właśnie wtedy zasnęła. Śnił jej się szef o kamiennym sercu, który zarzucał ją pracą: gdy tylko uporała się z jakimś zadaniem, natychmiast zlecał jej następne. Późnym rankiem zbudził ją głośny hałas. To wózek uderzył o ścianę. Rześki głos zawołał:

- Pani doktor, jest pani tam?! Chciałam zabrać rzeczy do prania!

Vicky powlokła się do drzwi. Ledwo widziała na oczy. Oddała ręcznik i fartuch. Spojrzała na zegarek. Właściwie to całe szczęście, że ją obudzono. Na spotkaniu z Adrianem chciała wyglądać jak najlepiej.

Długo namyślała się, co ma włożyć. Jedwabna zielona sukienka dodawała jej pewności siebie. Do pracy się nie nadaje, ale co za problem wpaść tu na chwilę, żeby się przebrać... Jeśli Adrian jej tę pracę zaproponuje. Czy będzie walczyć, jeśli poleci jej odejść? Tak, będzie. Chce tej pracy. Chce nabrać jak najwięcej doświadczenia w tej dziedzinie, a od Adriana, musi mu to przyznać, mogłaby się wiele nauczyć.

Zastała go, jak pierwszego dnia, za biurkiem. Wstał i wskazał jej krzesło. Jego zachowanie było bardzo uprzejme, bardzo powściągliwe, zupełnie pozbawione emocji.

Przyoblekła twarz w uśmiech, który miał wyrażać pewność siebie. Tak najlepiej, nawet gdy w środku wrze.

Po jego wzroku widać było, że zauważył jej niestosowny do pracy strój.

- Wybierasz się gdzieś?

- Nie wiem. To zależy.

- Od czego?

- Chyba od ciebie. A więc, skoro już widziałeś, co potrafię, chcesz ze mną pracować czy nie?

- Twoja praca jest bez zarzutu; to twoja osobowość mnie niepokoi. Nie jestem przekonany, czy zdołam sobie poradzić z tak ognistym temperamentem, ale postanowiłem spróbować.

- Dziękuję uprzejmie! Teraz ja nie wiem, czy istotnie jesteśmy w stanie przez dłuższy czas współpracować.

Zerwał się z krzesła i podszedł do niej. Położył jej ręce na ramionach i zajrzał w oczy.

- Możemy stworzyć znakomity zespół, Vicky. Chcę tylko, żebyś decyzje podejmowała przy udziale głowy.

- Tak jak ty to zrobiłeś, gdy Mark potrzebował przeszczepu. Uścisk jego dłoni zeszywniał, a w oczach dojrzała ten sam smutek co wczoraj. Znowu przyszło jej na myśl, że i on musiał w życiu cierpieć.

- Rozważyłem fakty i doszedłem do wniosku, że Mark ma większe szanse przeżycia niż ten drugi. Miałem nadzieję, że druga nerka szybko się znajdzie. Nie pierwszy raz musiałem podjąć tak brudną decyzję.

Vicky pochwyciła dziwną nutę w jego głosie. Milczała w nadziei, że powie coś więcej, ale on zamilkł i odwrócił się do niej plecami.

- Nie sądzisz...?

Urwała, gdy odwrócił się znowu w jej stronę i wpił wzrok w jej twarz, jakby pytając, czy odważy się mówić dalej.

- Co takiego?

- Nie sądzisz - brnęła mimo wszystko - że te straszne decyzje, które musisz podejmować, sprawiły, że stałeś się zbyt twardy? Ja na przykład nie mogłabym postępować tak jak ty.

- Wierzę - odparł spokojnie. - Ale będziesz musiała się nauczyć, jeśli oczywiście chcesz być dobrym lekarzem.

- Nie wiem, czy chcę być tak twarda.

- Ja wcale nie jestem twardy.

Z tymi słowami powoli pochylił głowę i lekko musnął

ustami jej wargi.

Serce zabiło jej gwałtownie. Pocałunek był tak lekki jak skrzydło motyla... i sprawił jej przyjemność! Przeszył ją zmysłowy dreszcz.

Zakryła usta dłonią. Nie mogła oderwać wzroku od jego twarzy, w tej chwili pełnej czułości.

- Dlaczego? - spytała. - Dlaczego to zrobiłeś?

Adrian zaśmiał się łagodnie.

- Chciałem ci pokazać, że ja też mam uczucia, nad którymi czasem trudno mi zapanować. Od pierwszej chwili, kiedy tu wkroczyłaś z tą swoją miną świętej, miałem ochotę pocałunkiem zamknąć usta, które mnie oskarżały, i ofiarować ci gałązkę oliwną. Chciałbym, żebyś u mnie pracowała, ale pod warunkiem, że jesteś gotowa zamknąć przeszłość i iść naprzód. A więc jaka jest twoja odpowiedź?

W przypiływie ulgi Vicky wyciągnęła rękę, jakby dla przybicia targu. Gdy dłoń Adriana zamknęła jej palce w uścisku, rozległo się pukanie do drzwi. To zdumiewające, ale poczuła żal! Było to jak dotąd jej jedyne spotkanie w sprawie pracy, którego nie miała ochoty kończyć. Adrian otworzył drzwi niecierpliwym gestem, który wzbudził w niej niejasne podejrzenie, że i jego zirytowało to najście.

- Przepraszam, nie wiedziałam, że jest pan zajęty.

Pam Harrison stanęła w progu, zaglądając do pokoju.

- Proszę, siostrze. Doktor Parker właśnie się wybiera do naszego pacjenta, Geoffreya Goodalla.

- Dzięki. Miałam nadzieję, że ktoś niedługo przyjdzie na oddział. - W tej chwili zauważyła zieloną, jedwabną suknię Vicky i oczy jej się zwęziły. - W moim pokoju jest sporo świeżych, białych fartuchów. Proszę się nie krępować.

Vicky wyszła na korytarz z uczuciem, że nie tylko została odprawiona, ale że wydaje się jej rozkazy! Ale i tak jest świetnie, skoro Adrian jednak chce, żeby została.

Wbiegając po schodach, powiedziała sobie, że rzeczywiście stworzą znakomity zespół. Jednak postara się trochę zmiekczyć swego szefa. Nadal uważała go za człowieka,

który nie ma wątpliwości, a wierzyła głęboko, że w medycynie

nie wszystko jest czarne albo białe. Istnieje niewyraźnie odgraniczona szara strefa, którą zawsze należy brać pod uwagę.

Lecz jeśli ma go nawrócić na swój sposób myślenia, to trzeba to zrobić szybko, bo ten mężczyzna dziwnie ją pociąga.

Jest w nim coś autentycznie fascynującego. Ilekroć spojrzy na nią tymi ciemnymi, głębokimi, wyrazistymi oczami, jej serce zdaje się przyspieszać rytm.

Pchnęła drzwi prowadzące na oddział. Ileż to już czasu minęło, odkąd czuła coś w tym rodzaju... zainteresowanie prawdziwym mężczyzną z krwi i kości. Szkoda, że jej zmysły poruszył ten jeden jedyny mężczyzna na świecie, w którym właśnie nie wolno jej się zakochać.

ROZDZIAŁ CZWARTY

Nie widziała się z Adrianem przez cały następny tydzień.

Wyjechał do Londynu na konferencję naukową i zastępował go starszy asystent, George Benson. Przez cały ten tydzień Vicky nie mogła też znaleźć czasu, by wyskoczyć do Marshallów. Dopiero telefon Mary Marshall, która spytała tonem skargi, kiedy będą mieli zaszczyt ją zobaczyć, sprawił, że postanowiła już tego nie odkładać. Tłumaczyła matce Marka, jak bardzo jest zapracowana, ale Mary wyraźnie dała jej do zrozumienia, że czuje się zlekceważona

i dotknięta, i że nawał pracy nie jest żadną wymówką.

- My też zawsze mieliśmy dużo pracy na farmie, ale umieliśmy znaleźć trochę czasu dla przyjaciół. I jestem pewna, że Mark także by umiał.

- Bez wątpienia - przytaknęła posłusznie Vicky.

Wychodząc ze szpitala zastanawiała się, czemu czuje się tak przygnębiona. Przecież jej powrót do Yorkshire był między innymi podyktowany chęcią podtrzymania kontaktu z rodzicami Marka. Musiała jednak przyznać, że rozdrażniło

ją ich przeświadczenie, iż mają prawo stosować wobec niej szantaż emocjonalny.

Nagle stanęła jak wryta na widok srebrnego sportowego samochodu, z którego wysiadał atletycznie zbudowany mężczyzna. A więc Adrian wrócił. Myślała, że przyjedzie dopiero jutro.

Gdy do niej podchodził, na jego przystojną twarz wypłynął szeroki uśmiech.

- Co to ma znaczyć? Wagary w środku popołudnia?

Wiadomo, kota nie ma...

- Graham powiedział, że nie mamy teraz nic pilnego i mogę wyjść na dwie godziny. - Starła się mówić pewnym głosem i nie dać się zbić z tropu. - W końcu nie samą pracą człowiek żyje.

Nie spuszczał z niej oczu, a z jego warg nie zniknął uśmiech.

- Nie posądzam cię o to, żebyś kiedykolwiek miała żyć samą pracą, Vicky. Za silny masz temperament. Dokąd to się wybierasz?

- Na farmę Marshallów.

- Aha. - Przyglądał się jej z namysłem. - Masz samochód?

- Nie, pojedę autobusem.

Ostentacyjnie spojrzała na zegarek.

- Podwiozę cię.

Oślupiała.

- Nie chcę sprawiać ci kłopotu - wydusiła w końcu.

- Ależ to dla mnie przyjemność. I tak miałem wrócić dopiero jutro. George da sobie bez nas radę. Zdaje się, że Marshallowie mieszkają w Ravensdale, niedaleko tej restauracji,

w której jedliśmy kolację.

Przytaknęła.

- Skąd wiesz? Nie od razu odpowiedział. Najwyraźniej szukał właściwych słów.

- Dowiadywałem się po tym, jak... jak powiedziałaś mi o Marku. Chciałbym się z nimi zobaczyć, żeby wyrazić swoje...

- Nie! Proszę, nie rób tego. - Znów wzbierał w niej smutek. - Lepiej, żeby nie wiedzieli, kim jesteś. Oni tak samo jak ja przeżyli fakt, że Markowi odmówiono przeczepu. Wydawało jej się, że jego oczy nabrały enigmatycznego wyrazu. Czyżby go to dotknęło?

- Dobrze - zgodził się spokojnie. - Ale uważam, że popełniasz błąd. Gdyby znali wszystkie fakty, mogliby dojść do całkiem innych wniosków.

- Wątpię. Są bardzo uparci. Gdy wyrobią sobie o kims opinie, nigdy jej nie zmieniają.

- I ty też nie jesteś w stanie wpłynąć na tę opinie?

- Czasem. To zależy od sytuacji.

- Pozwól, że cię przynajmniej odwiozę.

W jego głosie brzmiała ciepła nuta. Spojrzała w ciemne oczy, z których nic nie dawało się wyczytać. Wahala się tylko chwilę, zanim zdołała przekonać samą siebie, że nie ma żadnych powodów, by odrzucić tę propozycję.

- Dziękuję - odparła.

Gdy już wydostali się poza miasto, Vicky zauważyła, że żywopłoty są usiane jeżynami. Oczami duszy zobaczyła siebie z poplamionymi na granatowo palcami, jak sięga coraz głębiej i głębiej w zielony mur, nie bacząc na ostre kolce, które ranią jej gołe ręce i nogi. Wyobraziła sobie cudowny zapach i smak placka jeżynowego matki, który czekał na nią, gdy wracała ze szkoły. Nagle pożałowała, że jedzie odwiedzić rodziców Marka, nie własnych.

- To farma Marshallów!

Wskazała długi, szary budynek na stoku, stojący tyłem do szosy.

- Teraz skreć w prawo.

Sportowy samochód Adriana wdzierał się pod górę, coraz bardziej pokrywając się błotem z wyjeżdżonej przez traktory drogi. Zajechali przed furtkę.

Vicky zwróciła się w stronę swego szefa. Była coraz bardziej zdenerwowana.

- Dzięki za podwiezienie, ale teraz naprawdę powinieneś wracać. Marshallowie nie są ludźmi, którzy...

- Victoria! Nareszcie!

Niska, pulchna kobieta wybiegła przez drzwi kuchenne, wycierając ręce w fartuch. Zanim Vicky zdążyła skłonić Adriana do odjazdu, Mary Marshall już otworzyła furtkę. - A to kto? - spytała, przypatrując się bacznie Adrianowi. Vicky wzięła głęboki oddech.

- Podwiózł mnie kolega z pracy, ale musi już wracać do szpitala, prawda?

Adrian zawahał się chwileczkę, po czym wysiadł.

- Tak bardzo się nie spieszę - rzekł lekko. Odetchnął pełną piersią i z uśmiechem zwrócił się do Mary: - Mieszkają państwo w przepięknym miejscu. Czasem żałuję, że nie zostałem farmerem. To takie zdrowe zajęcie w porównaniu

z kiszaniem się w szpitalu przez cały boży dzień.

Mary Marshall miała trochę niepewną minę.

- Może byś nas sobie przedstawiła, Vicky?

- Proszę mi mówić Adrian - wtrącił pospiesznie.

- No dobrze, w takim razie... j'a mam na imię Mary. -

Jej rezerwa wobec nieoczekiwanego gościa zdawała się topnieć. - Proszę wejść, zrobię wam zaraz pysznej herbaty.

Byłam w rozpacz, że Vicky nie znalazła nawet chwili, żeby nas odwiedzić. Ale takie są teraz młode dziewczyny; myślą tylko o sobie. Rozrywki, rozrywki, rozrywki! Kiedy ja byłam w jej wieku, miałam już męża i syna, że już nie wspomnę o obowiązkach na farmie. To rozumiem, to jest praca.

Gdy Vicky weszła do kuchni i zabrała się razem z Mary do przygotowywania herbaty, jej zdenerwowanie troszkę zmalało. Sama siebie przekonywała, że Adrian nie zdradzi, kim naprawdę jest.

- A więc jaką masz specjalność, Adrianie? - spytała Mary.

Vicky wstrzymała dech.

- Jestem chirurgiem.

Na okrągłej różowej twarzy Mary pojawił się smutny uśmiech.

- Mieliśmy syna, który studiował medycynę, ale straciliśmy go w tragicznych okolicznościach. Często myślę,

że gdyby żył, byłby z niego dobry chirurg. Mark miał takie zręczne ręce, prawda, Vicky?

Vicky przełknęła to coś, co dławilo ją w gardle, i objęła ją serdecznym uściskiem.

- Tak, bardzo.

Była świadoma, że Adrian nie spuszcza z niej wzroku i prawie niedostrzegalnie potrząsnęła głową na znak, żeby nie ważył się wtrącać. W tej chwili zagwizdał czajnik, ode-rwała się więc od Mary i nałała wrzątku do dużego, brązowego

imbryka. Postawiła go na czysto wyszorowanym stole kuchennym i sięgnęła po zastawę w biało-niebieski wzór.

- Widzę, Vicky, że czujesz się tu jak w domu - zauważył Adrian.

- Przychodziła do nas jeszcze jako mała dziewczynka

- odparła Mary. - A teraz jest dla mnie jak córka.

Adrian wziął z rąk Vicky filiżankę z herbatą.

- Mark był jedynakiem, prawda?

- Skąd pan wie? - spytała zdziwiona Mary.

- Opowiedziałam mu wszystko o Marku - wtrąciła szybko Vicky.

Wtem z zewnątrz doszedł ich odgłos wycierania butów i do domu wszedł Sam Marshall. Był to wysoki, siwiejący mężczyzna. Na widok Vicky jego poorana bruzdami, ogorzała twarz rozjaśniła się w uśmiechu.

- Jak miło cię widzieć, malutka. Czemu tak długo nie przychodziłaś?

W tej chwili jego wzrok spoczął na Adrianie i wyraz zadowolenia zniknął. Gdy się znowu odezwał, w jego głosie zabrzmiała twarda nuta.

- A pan co robi w tych stronach, doktorze Ferguson?

- Nie wiedziałam, że się znacie - wybałała Vicky.

- Od pięciu lat, prawda? - Sam mówił ze złowieszczym spokojem.

Adrian podniósł się z krzesła i podszedł do niego z wyciągniętą ręką.

- Pracuję w nowym szpitalu w Northdale... - zaczął.
Sam zignorował go i ruszył do drzwi.
- Już dawno chciałem się z panem spotkać - ciągnął spokojnie Adrian. - Sądzę...
- Nie jestem ciekaw pańskich sądów - przerwał Sam.
- Jeśli o mnie chodzi, nie mamy sobie nic do powiedzenia, a więc życzę panu miłego dnia.
Vicky pobladła, widząc, że Sam otworzył na oścież drzwi na dwór.
- No wiesz, Sam... - zaczęła Mary.
- Cicho, matka!
Adrian nie stracił opanowania.
- Przykro mi, że pan tak reaguje. Chciałbym z panem porozmawiać, ale jeśli pan sobie nie życzy...
- Zgadza się! - odparł Sam głosem, w którym dźwięczała groźba. - W moim domu nie ma dla pana miejsca.
Adrian ruszył do drzwi. Przechodząc obok farmera, przystanął.
- Gdyby pan zmienił zdanie i chciał się ze mną zobaczyć, znajdzie mnie pan w szpitalu.
- Żegnam, doktorze Ferguson.
Twarz Sama stężała w maskę wrogości.
Vicky wstała.
- Ja też muszę iść - powiedziała cicho.
- Przecież dopiero przyszłaś! - Mary wyciągnęła rękę, jakby chcąc ją zatrzymać.
- Niedługo znów was odwiedzę. - Pocałowała Mary w pulchny, różowy policzek. - Nie zapomnę o was, choćbym była nie wiem jak zajęta.
- Szkoda, że nie możesz zostać, malutka.
Sam Marshall podszedł do niej. Vicky wspięła się na palce i jego też cmoknęła go w pobrużdżony policzek.
- Innym razem, Sam. Zadzwoń do was. Do widzenia.
Na dworze odetchnęła z ulgą. Adrian czekał już w samochodzie.
- Mówiłam ci, że nie powinieneś być tu przyjeżdżać - zaczęła, ale on przykrył jej dłoń swoją.
- Wiem. To była moja wina. Myślałem, że Sam Marshall

zmiękł może z wiekiem. Oczywiście pamiętam, jaki był pięć lat temu.

- Był w rozpaczy, tak jak ja. To chyba rozumiałe.

- Ja nie mówię o tym dniu, kiedy Mark nie dostał przeszczepu.

Moja znajomość z Samem Marshalllem jest jeszcze wcześniejsza. Zdążyliśmy się dobrze poznać.

- W takim razie kiedy się poznaliście?

- Wolałbym o tym nie mówić - odparł wymijająco.

Vicky utkwiała wzrok w drodze przed samochodem.

Zastanawiała

się, co Adrian przed nią ukrywa. Dlaczego nie

chce o tym rozmawiać? Wiedziała, że Sam potrafi być

przykry. W dzieciństwie nawet bała się go trochę i nigdy

nie obdarzyła całkowitym zaufaniem. Gdy dorosła, ten lęk

zniknął. Ale też nigdy nie miała przekonania, że Mark jest

naprawdę blisko z ojcem. Zawsze wyczuwała między nimi

jakaś rezerwę.

Dojechali do rozstaju dróg.

- Sprawdźmy, czy pani Gray nie zrobiłaby nam herbaty

zamiast tamtej, która nam przepadła - zaproponował

Adrian.

Wewnętrzne napięcie Vicky trochę osłabło. Tak, odpoczynek

w domu nad rzeką przed powrotem do pracy dobrze

im robi.

Pani Gray wyraźnie się ucieszyła, ujrzawszy, jak w sil-

nym blasku popołudniowego słońca przepływają przez

rzekę. Przerwała wieszanie prania w przykuchennym ogrodzie

i podała im herbatę na stoliku nad wodą.

- Właśnie upiekłam pana ulubione placuszki. Jakbym

przeczuwała, że pan wpadnie! Gdyby państwo jeszcze czegoś sobie życzyli, proszę tylko zawołać.

- Wyraźnie cieplejsze przyjęcie - skomentowała Vicky.

Adrian nalewał herbatę. Uśmiechnął się do niej i podał

jej filiżankę.

- Rzeczywiście. Ale pani Gray i ja przyjaźnimy się od

dawna. Kiedy byłem mały, odwiedzała moją ciotkę i psuła

mnie drobnymi upominkami. Ale kiedy dorosłem, uparła

się, że będzie się do mnie zwracała per pan, a potem zaczęła

tytułować mnie panem doktorem.

- Dziwne!

- Taka już jest. Myślę, że w towarzystwie dzieci się rozluźnia, ale dorosłych woli trzymać na dystans.

- Jesteśmy, jacy jesteśmy - powiedziała cicho Vicky.

- O tym, jacy jesteśmy, decyduje nie tylko nasza natura, ale i to, co nas spotyka. Życie nas kształtuje.

- A więc nigdy nie jest za późno, żeby się zmienić - podchwyciła.

W jego ciemnych oczach zapłonęły dziwne iskierki.

- Chcesz mi dać coś do zrozumienia, Vicky?

- A udało mi się?

Wyciągnął rękę nad stolikiem i delikatnie ujął jej palce.

- Pamiętaj, że w życiu prywatnym twoje decyzje zależą tylko od twojej woli, ale w medycynie musisz uwzględnić mnóstwo innych skomplikowanych czynników- rzekł nieco szorstko.

Poczuła, że jego dotyk budzi w niej zmysłowy dreszcz.

Odwrócił jej dłoń zagłębieniem do góry i podniósł do ust.

Wstrzymała oddech, by niczym nie spłoszyć tej ulotnej chwili czułości. Ich oczy spotkały się. Jaka szkoda, że nie może sobie pozwolić, by rozkoszować się ich wzajemną bliskością. Nie może... nie wolno jej... ze względu na Marka. To byłaby zdrada.

Z ociąganiem usłuchała wewnętrznego głosu i cofnęła

rękę. W jego wzroku wyczytała zdziwienie i coś jeszcze.

Jakby ból... ból i niedowierzanie. Jak ktoś tak silny, o takiej pozycji, mógłby przywiązywać jakąkolwiek wagę do tej przypadkowej godzinki nad rzeką? Przecież chyba nie myśli o niej w romantyczny sposób? To niemożliwe.

Przełknęła ślinę. Może... może ona też mu się po prostu podoba. Może i on walczy z tym uczuciem, tak samo jak ona. Ona jednak musi walczyć, jeśli ma dochować wierności pamięci Marka. Nie wolno jej zapomnieć, że gdyby nie Adrian, Mark by dziś żył.

Skierowała wzrok na drugi brzeg rzeki i zobaczyła, że na trawie kładą się długie cienie. Wstała, strącając na ziemię okruchy placuszków pani Gray. Z gałęzi pobliskiego

drzewa natychmiast podfrunął do nich zuchwały rudzik i porwał największy.

- Trzeba wracać - powiedziała.

Trudno jej jednak było opuścić to idylliczne miejsce.

Adrian też wstał i wyciągnął do niej rękę. Vicky podała mu swoją, zagłuszając głos sumienia argumentem, że przecież potrzebuje pomocy przy przeprawie przez rzekę. Wędrowała po kamieniach, wsparta na jego ramieniu. Przyjemnie było czuć dotyk jego skóry i to zmysłowe ciepło, które czuła dłuższą chwilę potem, jak ją puścił. Może to świadomość, że kosztuje zakazanego owocu, uczyniła to doznanie tak dojmującym?

Na drugim brzegu zatrzymali się jednocześnie. Wysoko nad nimi, na dębie, kos śpiewał melodyjną piosenkę. Vicky uniosła głowę, chcąc go zobaczyć. Ciepłe promienie słońca pieściły jej policzki. W taki dzień człowiek czuje, że dobrze jest żyć.

Ręka Adriana zniemacka objęła jej ramię. Zaskoczona, spojrzała mu w oczy i odniosła wrażenie, że widzi w nich czułość.

- Czas na nas - szepnęła bez tchu.

Uśmiechnął się łagodnie.

- Ty się naprawdę mnie boisz... Nie chcesz ulec prawdziwym uczuciom, prawda? Ale w końcu będziesz musiała zapomnieć o przeszłości, Vicky.

Gdyby mogła! Targały nią sprzeczne pragnienia. Jej ciało znów żyło, pulsowało. Tu, nad rzeką, było tak romantycznie...

a ciężar tej ręki na ramionach był tak niepokojący, tak miły.

Jakby wyczuwając jej uczuciowy zamęt, Adrian zdjął rękę i ruszył do samochodu.

- Wracamy - rzekł krótko.

ROZDZIAŁ PIĄTY

W drodze powrotnej do szpitala oboje milczeli. Vicky była wstrząśnięta odkryciem, że Adrian wzbudza w niej

skojarzenia erotyczne. Zaledwie tydzień temu myślała o nim jak najgorzej, a oto on pokonał wszystkie jej uprzedzenia.

Nie mogła jednak znieść myśli, że zdradza w ten sposób pamięć Marka. Musi zdobyć się na powściągliwość i zwalczyć swoje naganne uczucia.

Zerknęła w bok na rzeźbiony profil mężczyzny, który zaczynał rzucać na nią urok, i jej sercem targnął bolesny skurcz. Ile to już czasu minęło, odkąd przestała reagować emocjonalnie w swoich związkach z innymi? Dużo. Przez cały ten czas trwała jakby w stanie letargu, czekając na kogoś, kto kiedyś nadejdzie, by przywrócić ją życiu.

Wpatrzyła się przed siebie, w wąską, krętą drogę. Powiedziała sobie, że Adrian z pewnością miał mnóstwo dziewczyn i nie ma sensu doszukiwać się w jego gestach głębszej treści. Przypomnił jej, jak to jest żyć naprawdę, i to wszystko.

Gdy zajechali na szpitalny parking, sięgnął po jej dłoń.

- Nagle tak przycichłaś. Coś cię gnębi?

- Nie. - Uśmiechnęła się. - Może tylko... jestem zaskoczona.

Już tak dawno nie czułam...

Urwała w środku zdania, szukając właściwych słów.

Ujął ją pod brodę i uniósł twarz ku górze.

- Czego nie czułaś? Czyżbyś zaczynała znów czuć się kobietą?

Skinęła głową, wdzięczna, że powiedział to za nią.

- Twoja żaloba się skończyła. Najwyższy czas - przemówił łagodnie. - Jesteś młoda i powinnaś zacząć żyć własnym życiem. Pełnią życia, tak jak ja.

Gdy odprowadzał ją do części hotelowej szpitala, wydało jej się, że wyczuwa w nim zmianę. Traktował ją teraz wyraźnie bezosobowo.

- Przekaż Grahamowi, że będę rano, ale dziś nie mam zamiaru się pokazywać - powiedział.

Odwróciła się i ruszyła do swojego pokoju, a on pomachał jej ręką i oddalił się w przeciwnym kierunku. Gdy szykowała się na dyżur, nie mogła się oprzeć refleksji, że jest wobec niego całkiem bezbronna. To dlatego, że od

czasu związku z Markiem on pierwszy ją zainteresował. Musisz walczyć, powiedziała sobie. Nie możesz się poddać. Do mężczyzny takiego jak Adrian Ferguson kobiety, które tylko marzą, żeby być jego niewolnicami, ustawiają się w kolejce. To tylko kaprys, który minie.

Na oddziale chirurgicznym spotkała Grahama Bensona.

- Nie wiesz, czy szef już wrócił?

- No cóż... - Vicky zawahała się. - I tak, i nie. To znaczy mówił mi, że nie zamierza się pokazywać do jutra rana.

- Szkoda - zasepił się Graham. - Miałem nadzieję, że uda mi się na parę godzin wymknąć. Pam Harrison urzęduje przyjęcie.

- Idź na bal, Kopciuszkę - roześmiała się Vicky. - Ja cię zastąpię. Gdyby były jakieś problemy, zawsze mogę cię wezwać. Pam mieszka przecież tuż za rogiem.

- Czy ktoś wzywa imienia mego nadaremno? - Pam Harrison wynurzyła się z sąsiedniego boksu. - Słyszę, że omawiacie moją listę gości. Adrian nie pokaże się na oddziale właśnie dlatego, że przychodzi do mnie. I dlatego właśnie wrócił z konferencji dzień wcześniej. - Posłała Vicky uśmiech. - Chyba nie masz nic przeciwko temu, żeby popilnować dziś posterunku, co, Vicky?

- Nie, oczywiście, że nie - odparła Vicky odruchowo, ale nie zdołała stłumić w sobie goryczy, że Pam jej nie zaprosiła. Znała ją przecież od dawna, znacznie dłużej niż Adriana czy Grahama.

Ukrywając urażoną dumę, zrobiła z Grahamem obchód i ku swemu zadowoleniu przekonała się, że nie widzi żadnych problemów, z którymi nie mogłaby sobie poradzić. Zjadła wczesną kolację, po czym poszła na odprawę pielęgniarek. Zapewniwszy je, że w każdej chwili mogą ją wezwać, zaszła się w swoim pokoju.

Postanowiła wreszcie odpowiedzieć na zaległą korespondencję.

Usiadła za biurkiem przy oknie i, sięgnąwszy po pierwszą kopertę, spojrzała na dwór, w ciemniejące niebo. Letnie słońce chowało się za wzgórze Northdale, oblewając

dachy miasta głębokim szkarłatem. W dole, na dziedzińcu szpitalnym, stały równym rzędem karetki, niczym karni wartownicy.

I nagle zobaczyła, jak przez bramę wjeżdża znajomy, srebrny, sportowy samochód. Pam Harrison, ciasno opatulona w służbową granatową pelerynę z czerwoną łamówką, wybiegła ze szpitala i wskoczyła na siedzenie obok kierowcy.

Vicky cofnęła się i oparła na krześle. To było z całą pewnością umówione spotkanie. Ale czyż może być coś bardziej naturalnego niż przyjazne stosunki między Adrianem a szefową pielęgniarek chirurgicznych, która jest zawsze u jego boku i na bloku operacyjnym, i na oddziale?

Mimo to poczuła jakiś okropny tępy ból w sercu. Potwór zazdrości podniósł swój szkaradny łeb. Cóż ją to może obchodzić, co Adrian robi z wolnym czasem? To bezsensowne...

A jednak nie była w stanie się obronić przed wspomnieniem dotyku jego ramienia, gdy stali razem nad rzeką.

Westchnęła głęboko, wzięła długopis i zaczęła pisać z furją, jakby wypędzała w ten sposób ze swoich myśli parę w srebrnym samochodzie. To nudne zajęcie przerwał świdrujący dzwonek telefonu.

To była pielęgniarka z chirurgii. Nagły przypadek. Vicky powiedziała, że już idzie.

Pospiesznie maszerowała korytarzem, zadowolona, że ma coś do zrobienia. Pisanie listów nie wystarczy, by przegnać potwora.

Znalazła pielęgniarkę pochyloną nad łóżkiem nowo przyjętej pacjentki. Na widok Vicky na jej twarzy odmalowała się ulga.

Vicky podeszła do pacjentki z uspokajającym uśmiechem. Młoda kobieta wbiła w nią okrągłe, wystraszone oczy.

- Co mi jest, pani doktor? Cały dzień wymiotuję. Nie mogę pić nawet wody i tak okropnie boli mnie brzuch.

Vicky rzuciła okiem na protokół przyjęcia. Jacqueline Smith, lat dwadzieścia jeden, mężatka.

- Rzućmy okiem na ten bolący brzuch. Proszę się rozluźnić, a jeśli coś zaboli, proszę mi powiedzieć.

Jej doświadczony palce odnalazły siedlisko choroby w prawym dole biodrowym. Opór mięśni brzucha w tej okolicy, przyspieszone tętno i wysoka temperatura składały się na klasyczny obraz ostrego zapalenia wyrostka robaczkowego.

Ale diagnozę mogło potwierdzić w stu procentach tylko otwarcie jamy brzusznej. Trzeba się spieszyć, by uniknąć powikłań.

- Czy pani dzisiaj coś jadła, Jacqueline?

- Proszę mi mówić Jacky. Nie byłam w stanie. Próbowałam jeść herbatniki, ale wymiotowałam.

Vicky szybko robiła notatki. Trzeba zaraz operować, przygotować salę, zebrać zespół. Poprosiła pielęgniarkę, żeby zadzwoniła do Pam Harrison po Grahama Bensona.

Jacky Smith wysłuchiwała jej wyjaśnień i mocno uchwyciła ją za rękę.

- Czy pani tam będzie, pani doktor?

- Tak, będę cały czas. Czy ktoś z panią przyjechał?

W oczach młodej kobiety wyczytała wahanie.

- Mojego męża nie ma w domu. Jest na meczu. Pogotowie wezwała sąsiadka. Obiecała, że zabierze do siebie moją córeczkę. - Rozpłakała się. - Mam nadzieję, że z nią wszystko w porządku. Ma dopiero dwa miesiące.

- Jestem przekonana, że wszystko będzie dobrze, ale na wszelki wypadek zadzwonimy do pani sąsiadki. Może też uda nam się odszukać męża.

- Barry. Ma na imię Barry, ale nie zechce wyjść przed końcem meczu - wtrąciła Jacky niepewnie.

Vicky uspokajającym gestem poklepała jej dłoń.

- Na pewno zechce, bo będzie chciał być z panią.

Zanotowawszy numer sąsiadki, poszła do telefonu.

Zastanawiała

się, czy nie powinna zawiadomić Adriana, ale

uświadomiła sobie, że oficjalnie Adrian jest przecież na konferencji. Graham Benson też da sobie radę. Tymczasem nie minęło kilka minut, jak na oddział energicznie wkroczył Adrian. Wszedł do boks i przyjrzał się pacjentce, po czym rzucił Vicky ukośne spojrzenie.

- Pomyślałem, że przyda się pani pomoc, doktor Parker. Serce waliło jej jak szalone, ale zachowała pozory spokoju.
- Panujemy nad sytuacją, panie doktorze. To właśnie jest Jacky...

Gdy relacjonowała objawy, do boks, razem z szefową nocnej zmiany, wpadła zdyszana Pam, pospiesznie mocując na głowie swój czepek oddziałowej.

- Niepotrzebnie się pani fatygowała, siostró - zauważyła uszczypliwie nocna pielęgniarka. - Moje dziewczyny już przygotowują salę operacyjną i...

- Ależ dla mnie to żadna fatyga, siostró. - Pam zaprezentowała szeroki uśmiech, wyrażający niezachwianą pewność siebie. - Tak się złożyło, że doktor Ferguson był u mnie i sam zaproponował, żebym z nim przyszła. Adrian, zajęty badaniem pacjentki, nawet nie podniósł głowy. Gdy się w końcu wyprostował, zajrzał do notatek Vicky. Czytał, kiwając głową na znak aprobaty.

- Czy mam asystować? - spytała Vicky. - Oczywiście - odparł rzeczowo. - Idź z Pam i się szykujcie.

Myjąc się do zabiegu wraz z Pam, Vicky wyraziła żal, że przyjęcie zostało przerwane.

- Zawsze tak jest, gdy spotkamy się z Adrianem, ale mnie to nie przeszkadza - uśmiechnęła się Pam.

Vicky zakręciła kran łokciem. Z jej rąk kapłała woda.

- Chyba często się widujecie? Mam na myśli - towarzysko? Starła się, żeby to pytanie zabrzmiało możliwie obojętnie.

Pam nie musi wiedzieć, jakie są jej uczucia.

- Często do mnie wpada. Ale tylko dlatego, że bez żony czuje się samotnie. To nie jest typ człowieka, który ma serce na dłoni. Trzeba się domyślać, co czuje, i...

Urwała, ponieważ do pomieszczenia wszedł Adrian. Ze zgrzyliwym uśmieszkiem spoglądał to na jedną, to na drugą, jakby wyczuł, że rozmawiały o nim.

- Gotowe, siostró?

Vicky zauważyła, jak wymienili ciepłe spojrzenia. Tak, z pewnością tych dwoje jest z sobą blisko. Ale jak blisko? Odwróciła się. Nie będzie o tym myśleć. Stosunki Pam z Adrianem to nie jej sprawa. Z zamierającym sercem uprzytomniła sobie, że nie ma prawa niczego od niego oczekiwać. Postanowiła jednak spytać Pam, co miała na myśli, mówiąc, że Adrian czuje się samotny bez żony. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że mógłby mieć żonę. Dlaczego nie są razem? Czy rozstali się z przyczyn niezależnych od nich, czy im się nie układało, czy się rozwiedli, czy,.. Dość tego! Teraz trzeba myśleć o przypadku.

Pacjentka, już uśpiona, wjechała na salę operacyjną.

Vicky zajęła miejsce przy stole naprzeciwko Adriana. Pam podała mu skalpel i operacja się zaczęła.

Okazała się bardzo prosta. Zdążyli przed pęknięciem wyrostka, więc nie wywiązało się jeszcze zapalenie otrzewnej ani żadne inne powikłania. Adrian szybko usunął wyrostek w stanie zapalnym, a Vicky błyskawicznie zamknęła ranę. Nie trzeba było nawet zostawiać drenu.

Gdy wychodziła z bloku, z sali pooperacyjnej dobiegł ją głos Pam.

- Mam nadzieję, że nie jesteś zbyt zmęczony, żeby do mnie wrócić, Adrian. Mam mnóstwo jedzenia i picia i wszystko się zmarnuje.

Vicky zauważyła, że w głosie Adriana nie było cienia zmęczenia, gdy w odpowiedzi zapewnił Pam, że wieczór dopiero się zaczął.

- Wpadnę tylko na oddział powiedzieć Vicky, co ma robić.

Przyspieszyła kroku, żeby nie wyglądało na to, że podsłuchuje.

Gdy Adrian dotarł na oddział, zastał ją pogrążoną w rozmowie z pacjentem po przeszczepie nerki, Geofreyem Goodallem, który cierpiał na bezsenność.

- Chyba powinniśmy dać mu coś na sen - zauważyła.

Adrian przyjrzał się młodemu rudzielcowi.

- Boli? - spytał łagodnie.

Pacjent skinął głową.

- Zeszłej nocy prawie nie spałem.

- Spróbujemy coś na to poradzić. - Wpisał parę słów do karty Geoffreya, po czym zwrócił się do Vicky: - Załatwisz to?

- Oczywiście.

Pochylił się nad chorym i obejrzał ranę pooperacyjną.

- Dobrze się goi. Wszystko w porządku, Geoffrey. Doktor Parker zaraz da ci coś na sen.

Gdy wychodził, Vicky pospieszyła za nim.

- Temperatura trochę się podniosła - zauważyła.

Adrian zacisnął usta.

- Widziałem, ale moim zdaniem to bez znaczenia. Mocznik i kreatynina są w normie.

- To są wyniki sprzed dwóch dni - przypomniała.

- Więc?

- Uważam, że byłoby nieźle powtórzyć badania.

- Teraz? - Adrian zmarszczył brwi. - W laboratorium się to nie spodoba. Zostawmy to do jutra. Nie ma pośpiechu.

Vicky zawahała się i szybko obejrzała na pacjenta. Młody człowiek miał zamknięte oczy i wyglądał, jakby drzemał.

- Mam dziwne przeczucie. Po prostu czuję, że coś jest nie tak.

- Przeczucie? - powtórzył Adrian poirytowany. -

Chcesz, żebym późnym wieczorem wyciągał laboranta z łóżka na podstawie przeczucia? Chyba nawet ty, mimo swoich skłonności do dramatyzowania, dostrzegasz absurdalność tego pomysłu.

Vicky zeszytniała. Przywołała całą siłę woli, żeby nie stracić panowania nad sobą. Ostrożnie dobierała słowa.

- Poznałam tego pacjenta dobrze i jestem w stanie rozpoznać pogorszenie. Nie potrafię w tej chwili wskazać żadnego konkretnego objawu klinicznego, ale mam głębokie, intuicyjne przekonanie, że jego organizm odrzuca przeszczep. Adrian wzniosł oczy do nieba.

- Na Boga, kobieto! Po jakiego diabła uparłaś się, żeby

studiować medycynę? Trzeba było zostać znachorką. Intuicyjne przekonania i przeczucia nie mają nic wspólnego z nauką. Proponuję...

- Adrianie, proszę - przerwała spokojnie. Wiedziała, że pod żadnym pozorem nie może dać się wyprowadzić z równowagi. - Mam takie przeczucie i nic na to nie poradzę, wobec tego pozwól, że załatwię to po swoimemu.

Nie była wcale pewna, czy ma rację, ale chciała się przekonać sama. Nikt, a zwłaszcza Adrian, nie zdoła jej powstrzymać.

- Słuchaj, nie wiem, co ci się roi w twojej ślicznej główce... - zaczął.

Skoczyła jak dźgnięta nożem.

- Nie bądź taki protekcyjny! Na wypadek, gdybyś zapomniał, przypominam ci, że też jestem lekarzem! Ze złości nie usłyszała odgłosu zbliżających się kroków.

- Co się dzieje, Adrian? - spytała Pam Harrison. - Czekam i czekam.

W głosie Adriana brzmiała nuta rozdrażnienia.

- Nic, Pam. Już idę.

ROZDZIAŁ SZÓSTY

Vicky przekonała się niebawem, że Adrian trafnie przewidział reakcję laboranta, gdy ten dowiedział się, że w środku nocy ma badać poziom mocznika i kreatyniny.

- Czy nie moglibyśmy poczekać z tym do jutra, pani doktor?

Słyszając płaczący, zmęczony, senny głos zaczęła się zastanawiać, czy rzeczywiście nie ma nadmiernych skłonności do dramatyzowania. Ale przeczucie nie zniknęło. Czuli, że musi to sprawdzić. Miała tylko nadzieję, że jej własny głos brzmi pewniej, niżby to uzasadniał stan ducha.

- Niestety, nie możemy czekać.

Młody laborant przyszedł na oddział w białym fartuchu zarzuconym na piżamę w paski. Jego oczy rzucały nieprzyjazne

błyski.

- Gdzie pacjent?

- Tutaj. I chciałabym mieć wyniki jak najszybciej.

Zdawała sobie sprawę, że ryzykuje, ale w tej sytuacji najlepiej było zachować do końca stanowczą postawę.

Młody człowiek wrócił z wydrukiem po dwóch godzinach.

Jego sposób bycia zmienił się diametralnie. Podał wyniki Vicky i tonem, w którym wyczytała coś jakby szacunek,

zwrócił jej uwagę na nieprawidłowe wartości.

- Wyraźny wzrost poziomu mocznika i kreatyniny, pani doktor.

Skinęła głową i rzuciła okiem na zegar oddziałowy. Jak przez mgłę odnotowała, że jest gdzieś po czwartej. Wyniki nie były aż tak złe, jak się obawiała, ale mimo wszystko sygnalizowały niebezpieczeństwo. W połączeniu ze wzrostem temperatury i zmniejszoną ilością wydalanego moczu świadczyły, że rozpoczął się proces odrzucania nerki. Podziękowała laborantowi i odesłała go do łóżka. Ze scyntyografią mogła jeszcze kilka godzin poczekać, ale postanowiła

podać metyloprednizolon.

Na koniec skierowała jedną z pielęgniarek do wyłącznej opieki nad Geoffreyem i usiadła za biurkiem, żeby napisać raport. Wtedy właśnie uświadomiła sobie, że będzie musiała zawiadomić Adriana. W końcu to on prowadzi ten przypadek. A jeśli jest jeszcze u Pam? Czy to nie będzie wyglądało tak, jakby go sprawdzała?

Zdecydowanym gestem wzięła słuchawkę i zadzwoniła na portiernię. Już oni go znajdą, a ona wcale nie musi wiedzieć, gdzie.

Portier oddzwonił po dwóch minutach.

- Przed chwilą rozmawiałem z siostrą Harrison, bo u niej doktor Ferguson był ostatnio. Powiedziała, że nie ma pojęcia, gdzie może być teraz i...

- W porządku - przerwała Vicky, widząc wysoką postać, która znenacka zmaterializowała się w drzwiach. -

Doktor Ferguson właśnie przyszedł.

Odłożyła słuchawkę i spojrzała na Adriana. Serce było jej mocno. Jak też zareaguje?

- Skąd wiedziałeś, że cię szukam?

- Nie wiedziałem. Pomyślałem, że zajrzę i sprawdzę, co się dzieje.

Wzięła wyniki z laboratorium i podała mu. Zagwizdał cichutko.

- A więc przecucie znachorki trafiło w dziesiątkę!

Odłożył papier i położył jej dłonie na ramionach.

- Mądra dziewczynka!

Wiedziała, że powinna triumfować, ale czuła tylko radość, że wrócił, i pewność, że teraz już wszystko będzie dobrze.

- Rano zrobimy scyntygrafię, a potem biopsję. Jeśli odrzuca-

nie się potwierdzi, to będziemy musieli szykować się do następnego przeszczepu. Chodźmy do niego.

Zbadawszy Geoffreya i uspokoiwszy go, Adrian wyciągnął Vicky na korytarz.

- Nie jest aż tak źle, jak się obawiałem, ale nie można wykluczyć całkowitego odrzucenia. Skontaktuję się z bankiem narządów i zobaczymy, czy mają jakąś zgodną antygenowo nerkę.

Nagle przerwał i ujął Vicky za rękę.

- Wyglądasz, jakbyś miała za chwilę paść. Zrobiłaś już wszystko, co mogłaś. Pielęgniarki poradzą sobie z resztą. Chodź, zaordynuję ci leczniczą dawkę brandy.

- Nie piję na dyżurze - powiedziała automatycznym i sennym głosem.

- Nie masz już dyżuru. Wydałem ci polecenie służbowe, żebyś odpoczęła. ^Kiedy tylko przyjdzie dzienna zmiana, zajmę się zorganizowaniem scyntygrafii i biopsji. Teraz chodź ze mną.

- Ale czy to może czekać? Jeśli przeszczep się nie przyjął...

- Zaufaj mi. Pracuję dłużej od ciebie. Bardzo mądrze I twojej strony, że postawiłaś wstępną diagnozę i podałaś metyloprednizolon. Teraz już możemy zwolnić tempo. Vicky wydało się, że dostrzegła w jego oczach iskiereki

rozbawienia.

- Chcesz mi dać do zrozumienia, że postąpiłam zbyt pochopnie?

- Powiedzmy, impulsywnie, ale... - na jego usta wypląnął szeroki uśmiech - medycynie nie zaszkodzi nieco więcej entuzjazmu. No i dobrze się stało, że od razu podjęłaś środki zapobiegawcze. Po kilku godzinach mogłoby to być trudniejsze.

- Ale nie bez szans?

Adrian pokręcił głową.

- Nie, z pewnością nie bez szans.

Ujął ją pod ramię i wyprowadził z oddziału.

Cieszyła się, że na ciemnym korytarzu ma się na kim wesprzeć, bo nogi dosłownie się pod nią załamywały. Pokój Adriana, w przeciwnym końcu części mieszkalnej niż jej własny, wyglądał na rzadko używany. Vicky domyśliła się, że bywa tu tylko wtedy, gdy zdarzy mu się zasiedzieć w szpitalu.

Rozglądała się po bezosobowym wnętrzu, starając się odgadnąć, gdzie jest jego prawdziwy dom i czy nadal jest żonaty. Bo jeśli tak, to nie ma najmniejszego sensu ranić sobie serca romantycznymi fantazjami. Mężczyźni żonaci są dla niej strefą zakazaną. Tego może się dowiedzieć od Pam, a im wcześniej, tym lepiej.

Adrian nalał do dwóch szklaneczek brandy z kryształowej karafki. Vicky opadła na kanapę i zrzuciła buty.

W pierwszej chwili odniosła wrażenie, jakby bursztynowy płyn palił jej gardło. Nie była przyzwyczajona do mocnych trunków. Ale po kilku sekundach poczuła, jak przyjemna fala odprężenia rozlewa się po całym jej ciele.

- No, to już lepiej!

Głos Adriana dobiegał gdzieś z góry. Podniosła zmęczone oczy i zobaczyła, że uśmiecha się do niej serdecznie.

Powoli pochylił się i wyjął jej z ręki szklanekę, a potem ujął jej twarz w dłonie i przysunął do swojej. Jego ręce spoczęły na jej ramionach, a usta na jej wargach. Była zbyt znużona, by oprzeć się pokusie, więc pozwoliła sobie smakować słodycz tej chwili.

A potem nagle Adrian wyprostował się i wyciągnął do niej rękę, żeby ją podnieść.

- Nie powinienem cię zatrzymywać, skoro jesteś tak bardzo zmęczona.

Słyszała jego głęboki, kojący głos jak w hipnotycznym śnie. Widziała wyciągniętą rękę, ale nie miała siły zrobić żadnego gestu. Gdy opadały jej powieki, mówiła sobie jeszcze, że zaraz się jej uchwyci i wstanie, niech tylko wrócą jej siły...

Zdawało jej się, że słyszy szum morza, fale rozbijające się o brzeg. Widocznie jest na wakacjach... Nie, to nie morze, to jakiś mechaniczny dźwięk... przenikliwy, buczący, coś zdecydowanie nieprzyjemnego. Otworzyła oczy i rozejrzała się wokół. Gdzież ona jest?

Podźwignęła się, żeby móc wyjrzeć zza oparcia kanapy.

- Wielkie nieba! - wykrzyknęła w zdumieniu sprzątaczką z odkurzaczem i wyłączyła hałaśliwe urządzenie. - Skąd się pani tutaj wzięła?

Vicky odruchowo przyglądziła zmierzwione włosy i spróbowała zebrać myśli. Ostatnie, co pamiętała, to była wyciągnięta ku niej dłoń Adriana.

- Która godzina? - spytała szybko.

- Dziesiąta. Ależ to przecież doktor Parker! A to mi niespodzianka! Dopiero co skończyłam sprzątać u pani.

Vicky starała się wyplątać z okrywającego ją koca i w duchu przeklinała Adriana, że ją tu zostawił i zepsuł jej opinię. Wysoka cena za jeden pocałunek na dobranoc!

Aż podskoczyła na dzwonek telefonu na stoliku.

- Mam odebrać za panią? - spytała sprzątaczką, rzucając jej spojrzenie osoby znającej życie.

Vicky skinęła głową, zbierając się do ucieczki.

- Do pani - oznajmiła kobieta. - To doktor Ferguson.

- Adrian! - Vicky ściszyła głos i mówiła wprost do słuchawki. - Dlaczego mnie nie obudziłeś?

Z drugiej strony dobiegł ją stłumiony chichot.

- Nie przypuszczałem, że będziesz spać tak długo. Jestem na oddziale od wielu godzin. Potrzebuję pomocy przy biopsji. Kiedy możesz przyjść?

- Wezmę tylko prysznic i się przebiorę.
Pół godziny później wpadła na oddział chirurgiczny.
Najpierw zaszła do Jacky Smith, pacjentki po usunięciu wyrostka robaczkowego. Ku swojej satysfakcji ujrzała, że kobieta już siedzi i jest uśmiechnięta. Powodem tak dobrego nastroju był z pewnością młody mężczyzna u jej wezłowania.
- Dzień dobry! A to zapewne mąż. Cieszę się, że pan przyszedł.
- Tak, to jest Barry. - Jacky ujęła dłoń męża.
- Dziękuję, że pani się wczoraj tak wszystkim zajęła, pani doktor. Gdybym wiedział, że Jacky jest naprawdę chora, nie poszedłbym na żaden mecz. Dzwoniłem już do szefa, że biorę dwa tygodnie urlopu. Muszę postawić moją panią na nogi. Kiedy mogę ją zabrać do domu?
- Za kilka dni. A teraz robi pan najlepiej, jeśli się pan zajmie maleńką, żeby żona miała spokojną głowę. Wczoraj bardziej się bała o córeczkę niż o siebie.
- Żałuję, że mnie nie było. Wie pani, jak to jest: dopiero niebezpieczeństwo pozwala człowiekowi zrozumieć, ile dla niego znaczy druga osoba.
Nagle Vicky uprzytomniła sobie, że za jej plecami stoi Adrian. Obejrzała się i napotkała chłodne, bezosobowe spojrzenie.
- Ja już tę panią badałem. Zaraz zaczynamy biopsję, więc jeśli skończyłaś pogawędkę...
Na moment zaschło jej w ustach. Zrozumiała, co chciał przez to powiedzieć: że traci czas.
- Zajrzę później - obiecała pacjentce i popędziła za Adrianem.
Nie uszło jej uwagi, że podczas biopsji zachował profesjonalną obojętność i dystans, jakby nigdy nic między nimi nie zaszło. A zaraz po zabiegu oświadczył, że musi iść do przychodni.
Gdy Vicky zesza z Pam na późny lunch, uznała, że jest to idealny moment, żeby się czegoś dowiedzieć o jego życiu prywatnym.
- Jak się udało przyjęcie? - spytała niewinnie.

- No cóż, jak wiesz, większość gości wróciła do szpitala, ale Adrian wpadł jeszcze potem na drinka i kanapkę. Dlatego portier dzwonił do mnie. Adrian zostawił im mój numer i nie odwołał, kiedy wychodził.

Vicky wzięła głęboki wdech.

- Czy Adrian mieszka w domu?

- Jak to, czy mieszka w domu? - Pam wyglądała na zdziwioną.

- No bo wspominałaś coś o jego żonie. Czy ona też tu mieszka?

- To smutna historia. Jego żona, Virginia, umarła rok po ich ślubie. Myślałam, że wiesz.

- Prawie nic o nim nie wiem. - Vicky zawahała się i spytała jeszcze: - A skąd ty go tak dobrze znasz? Myślałam, że jest tu nowy.

- Bo jest. Ale nasza znajomość to stare dzieje. Moja matka dobrze знаła jego ciotkę, tę, która miała dom w Ravensdale.

Spotykaliśmy się, kiedy do niej przyjeżdżał. Czułam do niego miętę, kiedy miał dwadzieścia lat, a ja szesnaście. Ale poznał Virginie i przestał przyjeżdżać do Yorkshire.

- Pewnie było ci przykro.

- Przykro? - roześmiała się Pam. - Miałam złamane serce! Ale serca z czasem się goją. On zresztą nigdy nie wiedział, że był moim ideałem. Byłam dla niego tylko kumpelką. Po śmierci Virginii zaczął znów mnie odwiedzać. Czasem mu coś ugotowałam, czasem szliśmy razem na kolację. Chyba jestem dla niego ogniwem łączącym go z przeszłością. No i czuje się przy mnie bezpiecznie, bo nigdy nic między nami nie było.

Vicky odsunęła talerz. W stołówce było gwarno, ale ona słyszała tylko powieść Pam.

- I nigdy nie przyszło ci do głowy, że może jeszcze być?

- To by dopiero było szczęśliwe zakończenie, co? -

Pam uśmiechnęła się odrobinę nienaturalnie. - Nie, myślę, że on nigdy nie pogodził się ze stratą żony. Jesteśmy, jak

to się mówi, tylko przyjaciółmi. A skąd u ciebie to nagle zainteresowanie Adrianem?

- Lubię coś wiedzieć o ludziach, z którymi pracuję - odparła Vicky. - Powiedz mi jeszcze, skąd się tutaj wziął.

- Kilka lat pracował za granicą. Myślę, że chciał zapomnieć o Virginii. Potem napisał do pani Gray, tej, która kupiła dom po jego ciotce i urządziła w nim restaurację, że wraca do Anglii i spytał, czy mogłaby mu znaleźć jakiś domek w Ravensdale. Moja mama twierdzi... - Pam zniżyła głos. - Nie wiem, czy ci to mówić, ale niech tam! Nie zdradź się tylko przed Adrianem, że wiesz to ode mnie. Pani Gray podobno odpisała mu, że byłaby wdzięczna, gdyby odkupił jej dom, bo ledwo wiąże koniec z końcem i chce zrezygnować z prowadzenia restauracji.

- A on?

- On pomógł jej wypłatać się z tarapatów w taki sposób, że odkupił dom, ale zaproponował jej, żeby mu go prowadziła. Kiedy powiedziała, że chciałyby utrzymać restaurację,

tylko na mniejszą skalę, dla dobrych znajomych i poprzednich klientów, dał jej wolną rękę. Zysków to chyba żadnych nie przynosi, ale Adrianowi na tym nie zależy.

Ona jest szczęśliwa, a on ma gdzie mieszkać. No i ma gdzie podejmować gości. Jak ci się tam podobało? Vicky zawahała się. Rzeczywiście, przecież Pam wiedziała, że Adrian zaprosił ją tam pierwszego dnia.

- To urocze miejsce. Dziwne, że Adrian się nie pochwalił, że to jego dom.

Pam uśmiechnęła się.

- On nie lubi się zdradzać ze swoimi szlachetnymi gestami. Bo z księgowości jasno wynika, że interesem ta knajpka nie jest, ale nasz Adrian ma dobre serce, nawet jeśli niełatwo je odszukać.

- Rzeczywiście, na ogół trzyma je w ukryciu - zauważyła zgryźliwie Vicky. - Ale nie powiedziałaś, jak to się stało, że przyszedł tu do pracy.

- Ach, to tylko tymczasowa umowa. Jak już mówiłam, Adrian chciał zrobić sobie wakacje, zanim rozejrzy się za

następną stałą pracą. Tymczasem Hartley Dawson szukał kogoś, kto by go zastąpił na czas wyjazdu do Stanów, więc poprosił jego.

- To Adrian niedługo odejdzie - zauważyła Vicky bezbarwnym głosem.

- Tak, po Bożym Narodzeniu. I wielka szkoda. Będzie mi go brakowało. Tak dużo nas łączy. Byłam na jego ślubie, a po śmierci Vrrginii przychodził do mnie po siostrzaną pociechę przez te długie miesiące, kiedy nie mógł się wydźwignąć z depresji.

- Pewnie bardzo ją kochał - powiedziała cicho Vicky. Pam skinęła głową.

- Nigdy się już nie ożeni. Jest całkowicie wierny jej pamięci.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

W następnych tygodniach Vicky starała się nie zostawać z Adrianem sam na sam, chyba że przy pracy. Nie było sensu cierpieć z jego powodu więcej, niż już cierpiała. Musiała przyznać, że zawładnął jej myślami, ale dla nich dwojga nie ma przyszłości. Oboje muszą się zadowolić wspomnieniami. Ona nigdy nie będzie w stanie zapomnieć, w jakich okolicznościach spotkali się po raz pierwszy, a on, jeśli wierzyć Pam, wciąż jest w żałobie po swojej żonie.

Starała się odnosić do niego chłodno i przeważnie jej się to udawało. Ale czasem zastanawiała się, czy on to w ogóle dostrzega! W każdym razie nie było więcej zaproszeń do restauracji nad rzeką. Pewnie zabrał ją tam tylko po to, by wybadać, czy nadaje się do zespołu.

Pracy było mnóstwo i nie mieli czasu na pogawędki.

Geoffrey, pacjent z przeszczepioną nerką, był dializowany i czekał na następny przeszczep. Któregoś dnia, gdy Vicky weszła do jego pokoju, zastała go pogrążonego w rozmowie z Adrianem.

- Wiem, że jest ci ciężko, Geoffrey - usłyszała, zbliżając się do łóżka.

- Czy mogę w czymś pomóc? - spytała.

- Tak. - Adrian podniósł głowę. - Usiądź i przemów temu młodzieńcowi do rozumu. Chce się wypisać.

- No, nie, Geoffrey, nie możesz tego zrobić! - zaprotestowała.

- Mogę zrobić, co mi się żywnie podoba, i pani świetnie o tym wie- odparł wojowniczo.

- Oczywiście, tylko że wyjście ze szpitala teraz to samobójstwo

- odparowała.

- Doktor Parker ma rację - dodał Adrian poważnie. - Bez naszego leczenia umrzesz.

Młody mężczyzna przetarł dłonią oczy.

- A co jest takiego nadzwyczajnego w życiu, jakie teraz prowadzę? Czasami myślę, że lepiej umrzeć.

- Nie wolno ci tak myśleć - odparła łagodnie Vicky.

- To tylko kwestia czasu - włączył się Adrian. - Jesteś na pierwszym miejscu kolejki do przeszczepu.

- Naprawdę? I kto jeszcze? - rzucił ironicznie chory.

- To prawda, że wiele osób jest w takim położeniu jak ty, żyje dzięki dializom i czeka na przeszczep. Ale mamy nadzieję...

- Wy macie, a ja nie mam. Czemu nie pozwolicie mi iść do domu i umrzeć, trzymając za rękę moją dziewczynę?

- A co u Sharon? - spytała szybko Vicky.

- Wszystko w porządku. Ale nie będzie przecież czekać w nieskończoność.

Vicky odnotowała w myślach, żeby ją wezwać. A póki co, trzeba przydzielić Geoffreyowi pielęgniarkę. Ani przez chwilę nie może być sam.

Zaraz po obchodzie zadzwoniła do Sharon i poinformowała ją o stanie psychicznym Geoffreya.

- To kwestia życia i śmierci. Jeśli pani naprawdę na nim zależy, proszę koniecznie przyjść i postarać się podnieść go na duchu. On ma myśli samobójcze.

Lecz u schyłku tego długiego, męczącego dnia kończyła dyżur przepelniona miłym uczuciem satysfakcji. Sharon

przyszła, a teraz Geoffrey, w znacznie lepszym nastroju, gawędził z pielęgniarką.

Gdy opuszczała oddział, przyszło jej na myśl, że Pam skończyła dziś dyżur wcześniej, a i Adriana nie widziała od ładnych paru godzin. Może wybrali się gdzieś razem. Szkoda, że jej nie stać, wzorem Pam, na platoniczną przyjaźń z Adrianem. Niestety, to nie wchodzi w grę. Uczucie, jakie do niego żywiła, z całą pewnością nie było platoniczne. Tymczasem Pam najwyraźniej pogodziła się ze świadomością, że ona i Adrian są tylko przyjaciółmi. Pam uwielbiała być potrzebna. Vicky pamiętała, jak wiele zawdzięczała jej życzliwości na początku swojej pracy w szpitalu. Cóż to był za dzień! Jakże trzęsły się kolana pod nią, osiemnastoletnią dziewczyną, gdy weszła do kuchni, żeby przygotować wózek z napojami dla pacjentów. Czepek stale zsuwał się jej z długich włosów i straciła mnóstwo czasu, upinając je wciąż od nowa. Była tak pochłonięta tym zajęciem, że nawet nie usłyszała, jak weszła Pam i stanęła za nią, pytając, kiedy, jeśli w ogóle, zamierza rozwieść picie. Przeprosiła za opóźnienie, a Pam pomogła jej się odprężyć.

Uśmiechnęła się do siebie na wspomnienie jej słów:

- Jeśli kiedykolwiek będziesz potrzebowała pomocy albo rady, wal prosto do mnie.

- Wydajesz się wielce zadowolona z siebie!

Zesztywniała na dźwięk głosu Adriana, dobiegającego z końca korytarza. A więc jednak nie był umówiony z Pam. A może już wrócił?

- Pewnie, że jestem zadowolona. Kończę dyżur i mam przed sobą długą, gorącą kąpiel, a potem kompletnie nic nie będę robić.

Zbliżał się do niej z figlarnymi ognikami w oczach.

- Cóż za marnotrawstwo! Jesteś zbyt młoda, żeby się w ten sposób konserwować. Potrzebujesz odmiany. Pozwól mi się porwać na moim czarodziejskim dywanie.

Nie zwolniła marszu w kierunku wyjścia.

- Nie dzisiaj, Adrian. Jestem pewna, że jest wiele innych kobiet, które zasługują na twoje względy.

- Ale ja wybrałem ciebie. Przynajmniej od dziesięciu sekund czekam tu, żeby cię przyłapać. Nie możesz mnie zawieść.

Zatrzymała się i spojrzała mu w twarz. Uśmiechał się od ucha do ucha w niepokojąco chłopięcy sposób. Dlaczego musi być tak pociągający? Dlaczego obraca wniwecz wszystkie jej postanowienia, a sam zachowuje doskonałą obojętność?

- Co pan proponuje, doktorze Ferguson? - spytała teatralnym tonem.

- No cóż, doktor Parker, znam pewną małą restaurację, do której moglibyśmy pojechać. Jeśli się nie mylę, była pani tam ze mną kilka tygodni temu. Czy pani sobie przypomina?

Vicky zmarszczyła czoło, jakby przypomnienie sobie czegokolwiek w tej chwili stanowiło ogromny problem.

- Tak, istotnie, coś pamiętam...

Zaśmiał się.

- Dobra, Vicky, szkoda czasu. Wpadnę po ciebie za dziesięć minut.

- Ale...

Zniknął. Spiesząc do swojego pokoju, Vicky pomyślała, że jest denerwująco pewny siebie. I proszę: wystarczyło, żeby zakrzywił mały palec, a ona już leci. Powinna była okazać więcej charakteru.

Zrzuciła fartuch i zaczęła nerwowo przeglądać swoją dość skromną garderobę.

- Ujdzie w tłoku - powiedziała do siebie, chwytając kremowe spodnie z lnu i zieloną, jedwabną bluzkę. Jeszcze zakiet, bo za oknem liście zaczynają już tańczyć z jesiennym wiatrem. Ten czarny będzie ciepły i miły.

W tej samej chwili usłyszała pukanie do drzwi. O Boże!

Kiedy Adrian mówi „dziesięć minut”, to jest to rzeczywiście dziesięć minut.

Na wąskiej, krętej drodze do Ravensdale złote i brązowe liście lśniły w świetle reflektorów. W pewnej chwili mignął im na poboczu zaskoczony lis, który pospiesznie wycofał się w pole.

- Jak dobrze odetchnąć świeżym powietrzem - westchnęła.
- Już zapomniałam, jak tego potrzebuję.
- Często odwiedzasz farmę Marshallów?

Pytanie Adriana poruszyło jej sumienie.

- Za rzadko. Staram się być u nich raz w tygodniu, ale tak trudno znaleźć czas. A poza tym trudno nazwać ich towarzystwo relaksującym. Zawsze wracam przygnębiona.

- Za wiele wspomnień.

Przelotnie dotknął jej dłoni.

- To prawda.

No proszę, nareszcie to zaakceptowała. Chciała uwolnić się od przeszłości, tylko nie potrafiła się do tego przyznać. Adrian cofnął rękę, żeby mocniej uchwycić kierownicę na ostrym zakręcie.

- Na tym wzgórzu jest pub. Wstąpimy na szybkiego drinka. Pani Gray wie, że jesteśmy w drodze, więc zaczeka na nas z kolacją.

Gdy otworzyli drzwi pubu, buchnęła w nich aromatyczna woń drzewa sosnowego.

- Usiądź przy kominku, Vicky. Ja przyniosę coś do picia.

Sączyła wino, które jej podał. Ich oczy się spotkały.

Miały ten wyraz zadowolenia, które ogarnia człowieka po skończonym dniu pracy.

- Dlaczego nie możesz być zawsze taki miły i łagodny?

- spytała z uśmiechem.

- Bo z natury nie jestem miły i łagodny. Mili, łagodni ludzie zadowolają się miłymi, nudnawymi zajęciami. A ja muszę się ciągle wspinać. Nawiasem mówiąc, chciałbym cię któregoś dnia zaprosić na wycieczkę na wzgórze. To by ci dobrze zrobiło. Nabrałybyś kolorów. Ostatnio zmizerniałaś.

- Mam szefa tyrana, który mnie zamęcza. Nie mogę nawet porozmawiać z pacjentem, bo zaraz się piekli.

- Przepraszam, Vicky. Ale wymagam dużo od siebie, więc tego samego oczekuję od swoich współpracowników.

To dlatego... - Urwał w połowie zdania.

- Co dlatego? - zaczęła i jej wzrok powędrował w stronę, w którą patrzył Adrian.

We wnęce pod oknem, w drugim końcu sali, siedział mocno zbudowany, siwiejący mężczyzna w towarzystwie brunetki, której twarz nie była widoczna. Gdy w pewnej chwili przechylił głowę, zobaczyła go całkiem wyraźnie.

- To Sam Marshall, prawda?

Adrian skinął głową. Vicky zauważyła, że jego wzrok jest dziwnie pusty. On też dostrzegł ciemnowłosą kobietę, która z całą pewnością nie była żoną Sama.

Vicky nachyliła się ku Adrianowi.

- Nie wyciągajmy pochopnych wniosków. Jestem pewna, że to się łatwo da wytłumaczyć.

- Bujać to nie mnie! - zaśmiał się gorzko Adrian. - Ty nie wiesz o Samie tego co ja.

Vicky zmarszczyła brwi.

- Co to znaczy?

Najwyraźniej natychmiast pożałował swoich słów. Potrząsnął głową.

- Nic więcej nie powiem.

Oboje sączyli swoje drinki, starając się nie patrzeć na parę we wnęce. Adrian dopił resztę i odstawił kieliszek.

- Chodźmy już. Czekają na nas rostbefy i Yorkshire pudding.

- Cudownie!

Kątem oka zauważyła, że Sam Marshall odwrócił się w jej stronę i widocznie ją poznał, bo teraz wcisnął się jeszcze głębiej w kąat siedzenia. Żałowała, że nie odważyła się zerknąć na kobietę.

- Zabawne - skomentowała już w samochodzie. - Nigdy bym nie przypuszczała, że Sam może być kobieciarzem.

Przy Mary zawsze...

- Przy Mary on jest zupełnie innym człowiekiem!

Jego wybuch ją zaskoczył.

- Chciałabym wiedzieć, czemu go tak nie lubisz.

Adrian dodał gazu.

- Lepiej nie. Tylko byś się zdenerwowała.

- Adrian, nie możesz robić takich aluzji, a potem zostawiać mnie domysłem.

- Owszem, mogę, dla twojego własnego dobra.

Zerknęła na jego zaciętą twarz i postanowiła dać temu spokój. Może Pam będzie coś wiedziała.

Po obfitych jesiennych deszczach kamienie, po których przechodzili na drugi brzeg, były prawie zanurzone w wodzie.

Adrian podał jej rękę i powiedział:

- Chyba będę musiał namówić panią Gray, żeby przed zimą wybudowała tu jednak mały mostek. Po porządnej ulewie dom będzie odcięty od świata.

- A może sam się tym zajmiesz?

Nie od razu odpowiedział pytaniem:

- Wiesz, prawda? Pam ci powiedziała?

- O czym? O domu czy o...? - Urwała, żałując, że w ogóle poruszyła ten temat. Ale on czekał, więc musiała dokończyć. - O twojej żonie?

Z drugiego brzegu ktoś wołał. Pani Gray machała do nich ściereczką.

- Jeśli państwo zaraz nie przyjdą, pudding będzie na nic!

- Idziemy! - Adrian pociągnął Vicky ku sobie. - Wszystko po kolei - oświadczył.

Pudding był pyszny, tak samo jak rostbef i jarzyny. Na deser pani Gray podała kawę i szarlotkę przy kominku. Vicky wpatrywała się w stygnące węgle. Myślała o tym, jak tu miło i przytulnie. Adrian ma więc dom i gospodynię. Po cóż miałby się żenić? Może pozostać wierny pamięci Virginii, tak jak ona jest wierna pamięci Marka. Tylko czy rzeczywiście?

- Coś cię gnębi? - spytał, przysuwając się do niej na kanapie. - Może chcesz mi coś powiedzieć?

Zawahała się.

- Chcę zapytać. Powiedz mi, dlaczego Mark nie dostał przeszczepu?

W pokoju zaległa posepna cisza, zakłócana tylko tykaniem starego zegara i szaleńczym łomotem jej serca.

Gdy w końcu przemówił, jego głos brzmiał głucho i ochryple.

- Tego wieczoru, gdy przyszłaś odwiedzić Marka, dyskutowaliśmy

nad wyborem biorcy dla jedynej nerki, jaką dysponowaliśmy.

- „Dyskutowaliśmy”? To znaczy kto?

- Było nas trzech, jak zwykle. Dwóch konsultantów i starszy asystent, wszyscy z wysokimi kwalifikacjami i z doświadczeniem w transplantologii nerek. Na liście najpilniejszych

przypadków było dwóch pacjentów, którym można ją było przeszczepić, oczywiście pod osłoną leków immunosupresyjnych.

- I wybraliście tego drugiego - szepnęła. - Dlaczego?

Widziała ból w jego oczach.

- Ponieważ uznaliśmy, że Mark ma szansę przeżyć dłużej.

- Siedem dni... Przeżył siedem dni. - Jej głos się załamał.

Adrian przyciągnął ją do siebie.

- Mówiono nam, że najprawdopodobniej zaraz dostaniemy następną nerkę. Gdybym wiedział...

Urwał, napotkawszy jej wyczekujące spojrzenie.

- Gdybyś wiedział... - zaczęła powoli, z namysłem - gdybyś wiedział, że nerka nie przyjdzie na czas, czy to by coś zmieniło?

Zamknął oczy, ale Vicky była świadoma burzy uczuć, jaka szalała w jego duszy.

- Na takie pytanie nie mogę odpowiedzieć. Nie wiedziałem. Musisz mi uwierzyć.

- Wierzę, ale chcę wiedzieć, jaka byłaby twoja decyzja.

Otworzył oczy.

- Nie mogłaby być inna.

Odetchnęła głęboko rozkosznym aromatem szyszek sosnowych, które Adrian dorzucił wcześniej do przygasającego ognia.

- Tak myślałam. Powiedz mi jeszcze, czy wszyscy trzej głosowaliście na tego drugiego?

Adrian odpowiedział dopiero po chwili, śmiertelnie spokojnym,

posępnym głosem:

- Nie. Ten starszy asystent był za Markiem, ale drugi

konsultant zgadzał się ze mną.

- A więc dwóch na jednego. - Odsunęła się od niego.

- Twój głos mógł być tym decydującym. Wtedy, kiedy błagałam cię na korytarzu, mogłeś jeszcze ocalić Marka.

- Nie tak podejmuje się w medycynie ważne decyzje.

Musimy przestrzegać zasad.

- Nawet jeśli po drodze łamie się ludzkie serca? - spytała z lodowatym spokojem.

Zobaczyła w jego oczach głęboki ból.

- Tak. Musimy robić, co do nas należy, niezależnie od konsekwencji.

- To jak zabawa w Boga, nie sądzisz?

- Niestety tak - szepnął zduszonym głosem. - I nie jest to łatwe.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Do świadomości Vicky wdarł się ostry sygnał telefonu przy łóżku. Nie wyspała się. Poprzedniego wieczoru, gdy Adrian odwiózł ją do szpitala, wiele godzin leżała bezsennie, rozmyślając o tej tragicznej decyzji, w której Adrian odegrał taką rolę. Zasnęła dopiero o świcie i teraz, kiedy sięgała po słuchawkę, czuła się zmęczona i oszołomiona.

- Mam nadzieję, że cię nie obudziłem.

Usiadła wyprostowana i przesunęła palcami po włosach.

- Która godzina, Adrian? Coś się dzieje?

- Nic się nie dzieje. Chciałem się z tobą zobaczyć w dość ważnej sprawie. Czy możesz przyjść do mojego gabinetu?

Oprzytomniała w pełni.

- Kiedy?

- A może teraz? Dostaniesz grzankę i kawę. Muszę wysłać pewne papiery, a nie mogę tego zrobić, dopóki nie porozmawiam z tobą.

- Jesteś bardzo tajemniczy, ale podoba mi się pomysł z grzanką i kawą. Postaram się być jak najszybciej.

Ubierając się rozmyślała, co to może być takiego, że nie może poczekać. Adrian wspomniał coś o jakichś papierach...

Może jednak po wczorajszej rozmowie uznał, że zbyt wiele ich różni. On widział wszystko w barwach czarno-białych, ona dostrzegała szarą strefę o zacierających się granicach. Może doszedł do wniosku, że gdyby przyszło im podejmować ważne decyzje, jej emocjonalne podejście będzie przeszkodą. Czy ma zamiar jej zaproponować, żeby złożyła rezygnację?

Nie teraz, modliła się, och, proszę, nie teraz. W końcu powiedziała sobie, że nie ma sensu bawić się w domysły. Wkrótce się dowie.

- Dobrze spałaś? - spytał Adrian, nie podnosząc głowy znad biurka.

- Tak - skłamała. - O czym chciałeś ze mną rozmawiać? Wstał, wziął maszynkę do kawy i dwa kubki.

- Jaką pijesz?

- Czarną. Nie odpowiedziałeś mi na pytanie.

- Wszystko w swoim czasie.

Podał jej grzanki. Wzięła jedną i położyła na talerzu.

Bez słowa podsunął jej masło. Zastanawiała się, jak długo zamierza ją tak trzymać w niepewności.

- Chciałbym, żebyś pojechała ze mną do Paryża - oznajmił po kilku minutach.

Vicky zakrztusiła się kawą.

- Do Paryża?

Przeklinała się w duchu za rumieniec, który z wolna rozlewał się po jej policzkach.

- Nie zrozum mnie źle. To tylko konferencja naukowa.

Miałem zamiar zabrać Grahama Bensona, ale on się bardziej przyda tutaj. Ma więcej doświadczenia. Nie byłem tylko pewien, czy zdołasz znieść moje towarzystwo przez kilka dni. Jeśli nie, to mogę bez trudu...

- Ależ pojedę! - Wiedziała, że w jej głosie pobrzmiewa entuzjazm, i postanowiła trochę go przytłumić. - Muszę przyznać, że mnie zaskoczyłeś. Jaki jest temat konferencji?

- Etyka medyczna w chirurgii transplantacyjnej.

Wstrzymała oddech.

- Powiedziałabym, że to pole minowe. Czy zamierzasz zaprezentować nasze diametralnie różne stanowiska na temat

podejmowania decyzji?

- No cóż, ty zapewne nie będziesz proszona o zabranie głosu, ale będziesz mogła wysłuchać doświadczonych ludzi i czegoś się nauczyć... A przy okazji postaram się, żebyś mogła zobaczyć to i owo w Paryżu. Mam tylko nadzieję, że nie uznasz czterdziestoletniego zrzędy za nieodpowiednie towarzystwo. Postaram się dotrzymać ci kroku, gdy będziemy wspinać się na wieżę Eiffla.

- Czy to też jest w programie konferencji? - spytała z uśmiechem.

Adrian przykrył jej dłoń swoją.

- Jest w naszym programie. Będziemy mieć mnóstwo wolnego czasu.

Przez chwilę trwała w bezruchu, upajając się jego dotykiem.

A potem wróciły złe, dręczące myśli i cofnęła dłoń.

Uświadomiła sobie, że w Paryżu będzie jej wyjątkowo trudno zachować przytomność umysłu.

Przez cały ranek biegała po szpitalu w stanie radosnego uniesienia. Perspektywa spędzenia kilku dni z Adrianem w Paryżu uskrzydliła ją. Gdy usiedli razem przy śniadaniu, obserwowała, jak jego twarz rozświetla się pod wpływem jakiegoś interesującego tematu. Marzyła, żeby znów się nad nią pochylił, żeby jej dotknął, by jego palce jeszcze raz wzbudziły w niej dreszcz. Wszelkie wątpliwości związane z ich wzajemnym stosunkiem rozmyślnie odłożyła na półkę. Pozwoliła się nieść ciepłej fali uczucia, jakiego przy nim doznawała. Będzie mieć dość czasu, żeby się martwić, gdy wróca z Paryża.

Czas mijał szybko. Kilka dni przed ich wyjazdem przyjęto następnego pacjenta ze skrajnie ciężką niewydolnością nerek. Poddano go dializom w oczekiwaniu na przeszczep.

- To naprawdę niesamowite - powiedział Adrian, pokazując Vicky wyniki badań chorego. - Ma grupę krwi i antygeny zgodności tkankowej prawie takie same jak Geoffrey. Prześlę jego dane do banku tkanek. Trzeba go umieścić na liście priorytetowej.

Vicky spojrzała na niego pytająco.

- Ale pierwszą nerkę, oczywiście, dostanie Geoffrey?

- Dlaczego tak uważasz?

- Przecież to oczywiste! Geoffrey czeka już tak długo, a ten... Jak on się nazywa? - Zerknęła na kartę. - Tom Dewhurst. Jeśli teraz Tom przeskoczy kolejkę, Geoffrey wpadnie w ciężką depresję.

- Niekoniecznie - powiedział Adrian z namysłem. -

Sądzę, że gdybyśmy mu wyjaśnili, że Tom bez przeszczepu będzie żył znacznie krócej niż on, toby zrozumiał.

- Ale to strasznie niesprawiedliwe!

- Istotnie. - Adrian mierzył ją chłodnym spojrzeniem.

- Będzie to jednym z tematów konferencji. Mam nawet na ten temat wystąpienie.

- Masz zamiar opowiedzieć się za zimnym, klinicznym podejściem?

- Oczywiście. Żadne inne nie jest możliwe.

Odwróciła się. Serce biło jej gwałtownie. Odniosła wrażenie, że jakimś magicznym sposobem cofnął się czas i powrócił ten tragiczny wieczór, kiedy to znienawidziła Adriana za jego bezkompromisową decyzję. Teraz już go nie nienawidziła...

wprost przeciwnie... ale żałowała, że nie potrafi zmienić jego poglądów. Miała tylko nadzieję, że sytuacja, w której musiałaby wybrać między Geoffreyem a tym nowym pacjentem, po prostu się nie zdarzy. Zaczęła się wycofywać, mrużąc, że ma pilną pracę na oddziale dializ.

Adrian zatrzymał ją.

- Nie bierz sobie tego tak bardzo do serca, Vicky, bo się wypalisz emocjonalnie. Musisz się nauczyć czasem zapominać

o pracy. To dobrze, że jesteś pełna zapału, ale odpoczynek też jest potrzebny. Mam zamiar zabrać cię dziś po południu na wycieczkę na wzgórze.

- Dziś? - W głowie zawirowały jej myśli o tym, co ma jeszcze do zrobienia.

- Nie martw się. Wkrótce Graham będzie musiał sobie radzić sam, więc równie dobrze może zacząć dziś.

Wyjrzała przez okno na niezwykle jak na tę porę roku

błękitne niebo. Nie będzie już wielu takich dni przed nadejściem

zimy. Uśmiechnęła się i skinęła głową. Czuła, jak rośnie w niej znajome podniecenie.

Gdy wspinali się razem po skalistym zboczu, Vicky napawała się poczuciem całkowitej wolności. Na szczycie wapiennego wzgórza wstrzymała oddech, jak zawsze oczarowana

czystym pięknem krajobrazu. Jak dawno tu nie była, jak dawno nie podziwiała białego, pianistego wodospadu,

nie wsłuchiwała się w huk wody na skałach!

Adrian stał tuż przy niej. Zaniepokojona, spojrzała w niebo.

Poranny błękit zniknął. Gęstniejące nad ich głowami posępne, ciemne chmury zdawały się wieszczyć burzę.

- Nie sądzisz, że powinniśmy wracać? - spytała. -

Znam te wzgórza lepiej od ciebie.

- Czyżby? Ty się tu co prawda urodziłaś, ale dla mnie jest to przybrany dom. Ty nie miałaś w tej sprawie nic do powiedzenia, a ja to miejsce wybrałem. Zakochałem się w nim.

Zahipnotyzowana jego niskim głosem, zwróciła ku niemu twarz. Jego oczy były czule i wyraziste. Wyciągnął ręce. Przez moment opierała się pokusie, a potem długo skrywana namiętność pchnęła ją, omdlewającą, w jego ramiona.

Ciepło jego ciała i twardość mięśni przejęły ją rozkosznym dreszczem. Jego usta, z początku delikatne i uwodzicielskie, stawały się coraz bardziej zaborcze. To było elektryzujące, niezwykle doznanie. Czuła, że pragnęłaby pozostać w jego silnym uścisku na zawsze.

Nagle spadły na nich drobne krople deszczu. Adrian oderwał się od niej.

- Nie najlepszy moment. - Spowaźniał i rozejrzał się.

- Może lepiej się schowajmy i poczekajmy, aż przejdzie.

- Tu, pod wodospadem, jest jaskinia - szepnęła z przejęciem.

- Bawiliśmy się tam w dzieciństwie.

Oddech rwał jej się z radosnego wzruszenia. Adrian

uśmiechnął się i odparł:

- Cudownie.

Prowadził ją pewną dłonią. Tymczasem niebo wprost otworzyło się nad nimi. Biegiem dotarli do wejścia do jaskini. Tam Vicky wciągnęła w nozdrza znajomą woń zeschniętej orlicy i liści. Nie opierała się, gdy Adrian znów ją przytulił. Zatopieni w długim, namiętym uścisku zapomnieli

o chłodzie i wilgoci.

- Czy to jest twoja recepta na odpoczynek? - spytała miękko.

- A nie podoba ci się?

^ Zawahała się, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Oczywiście, że jej się podoba. Co więcej... pragnęła, żeby ta niedozwolona sielanka trwała wiecznie. Nie chciała wracać do realnego świata. Pragnęła zostać z tym wspaniałym mężczyzną, ale...

- Posłuchaj - ciągnął. - Czy nie odnosisz wrażenia, że między nami nie ma już tego niemiłego napięcia?

- Przyprowadziłeś mnie tu, żeby poprawić moją wydajność w pracy? - spytała przekornie.

Uśmiechnął się czule.

- Nie planowałem tego.

- Po prostu stało się. To był impuls...

- To było coś więcej - powiedział łagodnie i zaczął ją znowu całować.

Poczuła, że szybko zbliżają się do punktu, z którego nie ma odwrotu. Podjęła rozpaczliwy wysiłek, by wrócić na ziemię. Z trudem oderwała się od niego, zdumiona siłą własnej namiętności. Spojrzała na wyjście z jaskini.

- Chyba już przestało padać - zauważyła.

W myślach wciąż analizowała to, co zaszło. Nie miała zamiaru dać się porwać uczuciom, lecz nie była w stanie nad nimi zapanować. Nigdy nie spotkała nikogo takiego jak Adrian. To nie było jakieś tam zakochanie...

To, co czuła, było głębsze. Pragnęła wiecznej miłości.

Nie mogła sobie wyobrazić życia bez niego. Jak ma teraz wrócić do szpitala i ukrywać swoje uczucia, gdy każde

jego muśnięcie przejmuję ją bolesnym dreszczem?
To przejdzie, powiedziała sobie, nie bardzo w to wierząc,
i ruszyła w stronę wyjścia.
Chłodny prysznic rozpylonej wody z wodospadu
orzeźwił ją i pomógł pozbierać chaotyczne myśli. Gdy
wspinała się skalistą ścieżką wiodącą z powrotem na wzgórze,
poczuła nagle, jak czyjaś ręka otacza jej talię.
- Szkoda, że nie możemy tam zostać na zawsze - szepnęła
Adrian i ucałował ją lekko w policzek.
Nie odpowiedziała, ale w głębi serca czuła to samo.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Nadszedł dzień wyjazdu. Tego ostatniego ranka Vicky,
walcząc z nieprzyjemnym uciskiem w żołądku, przyniosła
Pam stos dokumentacji. Adrian był gdzieś na oddziale,
a one zasiadły do najbardziej prozaicznej strony przekazywa-
nia
pracy.

- Podałaś Grahamowi wszystkie dane Toma Dewhursta
i Geoffreya Goodalla? - spytała Pam, zerkając na Vicky
znad oprawek nowych okularów.

- Tak. Obaj są na liście priorytetowej. Pozostaje nam
tylko trzymać kciuki..

Drzwi się otworzyły i wszedł Adrian, w samą porę, by
usłyszeć ostatnie słowa.

- Vicky znowu uprawia magię... Ale tu trzeba wyższej
techniki niż zaciśnięty kciuk, moja mała.

Poczuła przyspieszone tętno. Po raz pierwszy od kilku,
dni odezwał się do niej swobodniej. Już myślała, że od
czasu romantycznej sielanki na wzgórzach postanowił jej
unikać - jakby pożałował swojego nagłego porywu.

- Kiedy wszystko zawiedzie, może będziemy musieli
uciec się do modłów i magii - odparła spokojnie. - Nie
zauważyłam, żeby twoje techniczne podejście przyniosło
naszym dwóm pacjentom choć jedną nerkę.

- Są na liście. Komputer centralny...

- Komputer centralny ma własny mózg!

Pam pokręciła głową.

- O rany, mam nadzieję, że nie będziecie się kłócić przez cały czas pobytu w Paryżu! - Zalotnie zwróciła twarz ku Adrianowi. - Jak ci się podobają moje nowe okulary, Adrianie?

- Jesteś zawsze śliczna jak obrazek, moja miła. Nieźle, jak na dziewczynę po trzydziestce.

Udała, że rozgląda się w popłochu.

- Nie mów nikomu o moim podeszłym wieku! Nie teraz, kiedy mamy tu takie młodzietki stworzenie jak Vicky. Boże, co ja bym dała, żeby mieć znowu dwadzieścia siedem lat! Opiekuj się tym facetem - zwróciła się do Vicky.

- Niech wraca cały i zdrow. A przy okazji, Adrianie, czy podjąłeś już jakąś decyzję co do dalszej pracy u nas? W jego oczach zabłyśły iskierki rozbawienia. Z charakterystycznym, pewnym siebie uśmieszkiem wodził wzrokiem od jednej do drugiej.

- Spytaj mnie po powrocie z Paryża.

Vicky wydało się, że Pam spochmurniała, mimo że natychmiast ukryła swój żal pod sympatycznym uśmiechem.

- Szczęściarze, wyjeżdżacie sobie i zostawiacie mi całą ciężką robotę.

- I za to cię właśnie kochamy, Pam. Za to, że jesteś taka użyteczna - zażartował Adrian.

I nagle Vicky poczuła jego rękę na ramieniu. To była prawie manifestacja, jakby chciał ogłosić, że coś ich łączy. Rzuciła ukradkowe spojrzenie na Pam, ale wzrok, który napotkała, był obojętny, bez wyrazu.

- Do zobaczenia za tydzień. - Adrian skierował Vicky ku drzwiom.

- Bawcie się dobrze! - zawołała Pam i pochyliła głowę nad biurkiem.

Vicky wyjrzała przez okienko samolotu. W dole widziała błękitne wody kanału La Manche i maleńkie stateczki przecinające jego lustrzaną powierzchnię. Samolot już nie nabierał wysokości; kierował się ku wybrzeżu Francji i Paryżowi.

Cała podróż nie trwała nawet godziny. Vicky była szczęśliwa, że przez krótki czas, w tej strefie zawieszenia wszelkich decyzji, ma Adriana tylko dla siebie.

- Czy udało ci się już oderwać myśli od szpitala? - spytał z ironicznym uśmiechem.

- To nie takie trudne, kiedy się szybuje w niebiosach. O której zaczyna się konferencja?

- Dziś wieczorem, podczas kolacji. Będzie czas, żeby się odświeżyć. Mamy rezerwację w Georges Cinq.

- Co za luksus!

- Spodoba ci się. Foldery reklamowe nie kłamią. Dla mnie to jedyne miejsce w Paryżu, w którym mogę mieszkać.

- Byłeś już tam kiedyś?

- O, tak. To jakby mój drugi dom.

Vicky wstrzymała oddech. Instykt odpowiedział jej, że był tam z żoną.

- Uważasz, że to dobry pomysł wracać do miejsc, z którymi wiążą się żywe wspomnienia?

Jego oczy miały zagadkowy wyraz.

- Nie staram się wskrzesić przeszłości, jeśli to miałaś na myśli. Nigdy nie próbuję cofnąć zegara. Ważna jest tylko teraźniejszość i przyszłość. To, co minęło, minęło bezpowrotnie

i już się nie liczy. Musisz się nauczyć zapominać.

Przy ich fotelach stanęła stewardesa, proponując szampana.

No tak, lecą pierwszą klasą. Vicky jednak miała dziwne wrażenie, że to nie szpital płaci za ten luksus.

Adrian pozwolił sobie nalać, ale ona podziękowała.

- Wolę mieć trzeźwą głowę - powiedziała z uśmiechem.

Wziął jej kieliszek i podał stewardesie.

- Moja głowa jest trzeźwa za nas oboje. Baw się, skoro masz okazję, Vicky. Bierzesz życie o wiele za poważnie.

Trącił jej kieliszek swoim.

- Za nas. Żeby się między nami lepiej układało.

Z uśmiechem podniosła kieliszek do ust i wypila do dna.

Bąbelki połaskotały ją w nos. Poczula się nareszcie wesoła i wolna od trosk.

- Ach, więc przyznajesz, że między nami nie układa się

najlepiej. Czy to moja wina, czy twoja?

Zaśmiał się beztroskim, chłopięcym śmiechem, który przyspieszył jej puls.

- Wspólna! Ale wspólnym wysiłkiem możemy wiele zdziałać.

Podczas lądowania Vicky kurczowo trzymała go za rękę.

- Co za ulga - mruknęła, gdy stewardesy zaczęły otwierać drzwi. - Nie lubię lądowania.

Adrian z uśmiechem uściśnął jej dłoń.

- To się rzucało w oczy!

Gdy schodziła za nim na płytę lotniska, jeszcze raz podziękowała losowi, że Adrian zabrał ją ze sobą. Jakie to szczęście, że Graham Benson jest od niej starszy i bardziej doświadczony, a zatem bardziej się przyda w szpitalu!

Do centrum pojechali taksówką. Kipiące życiem Champs Elysees atakowały wszystkie zmysły Vicky. Przed jej oczami migwały kolorowe sklepy, jaskrawe neony kin, ogródki kawiarniane i ludzie, wszędzie ludzie, pełni radości życia w tym mieście nad miastami.

Zwróciła się ku Adrianowi.

- Cudowne, po prostu cudowne! To miasto tryska radością! Zaśmiał się.

- Chciałbym móc powiedzieć to samo.

Wydawało jej się, że przez jego twarz przemknął cień.

Odwrócił się do okna.

- Byłeś tu z nią? - spytała cicho.

- Z kim?

Czuła, że wyrosła między nimi bariera.

- Z żoną - odparła ledwo dosłyszalnie.

- Virginia nie lubiła Paryża - oznajmił spokojnie.

- Nie lubiła Paryża? - powtórzyła Vicky. - Dlaczego?

Nie odpowiedział od razu. Gdy wreszcie przemówił, jego głos brzmiał nienaturalnie sucho.

- Byliśmy tutaj, kiedy wyszło na jaw, że jest chora.

Kiedy przyszły wyniki, mój kolega ze szpitala zadzwonił do hotelu...

- Georges Cinq?

Skinał głową.

- To był drugi dzień naszej podróży poślubnej.

- Tak mi przykro...

Urwała, świadoma, że jej słowa brzmią trywialnie i że nic nie zdoła wymazać z jego pamięci tego wspomnienia.

Ale przecież sam powiedział jej w samolocie, że musi się nauczyć zapominać.

Wyrzwała na ruchliwy bulwar. To właśnie stara się teraz robić. Przez pięć długich lat pielęgnowała pamięć o Marku. Może rzeczywiście nadszedł czas, żeby zacząć żyć własnym życiem? Kto wie, czy sam Mark nie życzyłby sobie tego.

Tyle było rzeczy, które chciałyby wiedzieć o żonie Adriana, ale zmusiła się do milczenia. Gdy taksówka stanęła przed imponującą fasadą hotelu Georges Cinq, mimowolnie nasunęło jej się pytanie, dlaczego wybrał właśnie ten.

Czyżby też próbował egzorcyzmować duchy przeszłości?

Portier zaprowadził ich do sąsiednich pokoi, które kiedyś musiały stanowić jeden apartament. Vicky zauważyła podwójne drzwi między nimi i sama nie wiedziała, czy doznała ulgi, czy rozczarowania, stwierdziwszy, że są zamknięte na klucz.

Pół godziny w luksusowej łazience, z luksusowym mydłem i solami kąpielowymi, sprawiło, że poczuła się jak inna kobieta... nawet więcej: jak królowa! Starannie wybrała strój: kremowy kostium z koralową jedwabną bluzką, kupione w jej ulubionym sklepie na Knightsbridge. Usta pomalowała szminką w tym samym odcieniu co bluzka; jej włoskie pantofle, kupione na New Bond Street, miały niemal identyczny kolor.

Gdy dodając sobie pewności wkroczyła do baru, Adrian zagwizdał cichutko. Umówili się na wpół do ósmej. Celowo spóźniła się dziesięć minut, żeby mu pokazać, że jest na luzie i że postanowiła robić, na co ma ochotę. Nikt jej nie będzie bezkarnie pouczał, jak powinna traktować życie!

- Wyglądasz oszałamiająco - odezwał się, wyciągając ręce w powitalnym geście.

W jego oczach błyszczały iskierki zachwytu.

Odpowiedziała olśniewającym - taką przynajmniej miała nadzieję - uśmiechem.

- Dzięki, szlachetny panie.

Zapadła w miękki fotel i przybrała pozę, która wydawała jej się niezwykle elegancka, a przy tym eksponowała włoskie pantofle. Wokół słyszała szmer rozmów prowadzonych po francusku.

Zjawił się kelner. Adrian nienaganną francuszczyzną objaśnił mu, jakich martini sobie życzą.

- A więc gdzie odbywa się dzisiejsza kolacja? - spytała, sącząc wysmienity koktajl, który wkrótce pojawił się przed nimi.

- Obawiam się, że wprowadziłem cię w błąd. Udział w kolacji był dobrowolny, więc uznałem, że lepiej będzie zorganizować coś na własną rękę. Zamówiłem stolik u Maxima.

Vicky pociągnęła kolejny łyk martini, starając się przetrwać tę wiadomość.

- Jesteś pewien, że nie tracimy nic ważnego?

- Zapewniam cię, że czas, który spędzimy razem, będzie o wiele cenniejszy niż spotkanie z innymi delegatami.

Na poznanie ich mamy jeszcze tydzień. Dzisiaj chcę być tylko z tobą.

Jak tu zachować chłód i powagę, kiedy twarz oblewa gorący rumieniec? Zauważyła, że kieliszek jest pusty. Czy jej martini wyparowało, czy może, co bardziej prawdopodobne,

wypiła je, żeby uspokoić rozedrgane nerwy? Na

dyskretny znak Adriana kelner podał jej drugi kieliszek.

Spokojnie, dziewczyno, powiedziała sobie. Przed tobą jeszcze długi wieczór.

Na rue Royale pojechali taksówką. Ciemność aksamitnym płaszczem otuliła miasto, ale zanurzone w powodzi światel kipiało życiem tak samo jak za dnia. Jak na początek listopada,

było ciepło. Vicky nie musiała nawet wkładać płaszcza.

Kelner zaprowadził ich do stolika w kącie sali, niemal

niewidocznego za kępą tropikalnej zieleni. Na środku adamaszkowego

białego obrusa pyszniła się jedna róża. Adrian uściśnął dłoń Vicky.

- Czy jest pani zadowolona ze stolika?

Z uśmiechem skinęła głową. O tak, była bardzo zadowolona!

Ze stolika, a zwłaszcza ze swojego niepokojąco przystojnego towarzysza. Czy to naprawdę ten sam człowiek, którego tak nienawidziła? Albo zmienił się nie do poznania, albo to ona niewyobrażalnie zmiękła. Zdawało jej się, że jest w siódmym niebie. Ale spoglądając znad wykwintnych dań na Adriana, siedzącego po drugiej stronie stolika, zastanawiała się, czy może sobie pozwolić na tę euforię. Nierozsądnie byłoby za wcześnie skapitulować. Może ją spotkać zawód.

Gdy wracali do swoich pokoi w hotelu, byli w windzie sami. Adrian pochylił się i delikatnie ją pocałował.

- Dziękuję ci za ten wieczór, Vicky - szepnął.

Drzwi windy rozsunęły się i wyszli na gruby, puszysty dywan. Serce Vicky biło w szaleńczym rytmie. Daremnie usiłowała uspokoić myśli.

Adrian przystanął przed jej drzwiami, objął ją i znowu pocałował. Nagle oderwał się od niej i poprosił o klucz.

Gdy otwierał drzwi, poczuła, jak jej podniecenie gwałtownie rośnie na myśl, że zaraz będzie z nim naprawdę sama. Na progu zwróciła się ku niemu, ale on cofnął się o kilka kroków.

- Śpij dobrze, Vicky. Muszę iść popracować nad swoim jutrzejszym wystąpieniem. Zobaczymy się rano.

Szepnęła „dobranoc” i weszła do pokoju, zdumiona, że czuje się taka zawiedziona. Ten człowiek rzucił na nią urok, z którym nie była zdolna walczyć.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Vicky obudził niezwykle dla niej hałas uliczny, dobiegający z rozległego bulwaru nad Sekwaną. Włożyła szlafrok i wyszła na maleńki balkonik, by chłonąć atmosferę

paryskiego poranka.

- Dobrze spałaś?

Adrian przechylał się przez barierkę sąsiedniego balkonu, z filiżanką kawy w jednej ręce, a ołówkiem w drugiej. Dowiedziała się, że postanowił całkowicie przerobić część swojego wystąpienia. Siedział nad tym do późna w nocy.

- Dlaczego? Co było nie w porządku z pierwszą wersją?

- Była zbyt ciężka. Aż się prosiła o odrobinę polotu.

Zabawne, jak podróż potrafi wpłynąć na ludzkie poglądy. Zupełnie zmienia perspektywę.

O, tak, z pewnością, pomyślała Vicky. Cofnęła się do pokoju, by przygotować się na ten długi dzień. Śniadanie złożone z croissanta i kawy zjadła przy otwartym oknie. Zanim skończyła, zapukał Adrian, więc naalała mu kawy i na chwilę go przeprosiła.

Poszła do łazienki, żeby się umalować. Nieufnie przyglądała się tej eleganckiej nieznajomej w lustrze. Ciemny, dobrze skrojony kostium, na który wydała całą miesięczną pensję, nadawał jej wygląd osoby pewnej siebie i kompetentnej.

Tak, Paryż z pewnością jej służy!

Wyszła z łazienki, nucąc pod nosem jakąś melodię. Na jej widok Adrian uśmiechnął się ironicznie.

- Oj, trudno będzie się z powrotem przystosować do skutej mrozem północnej Anglii!

- Rzeczywiście, już niedługo w Yorkshire będziemy marzli na kość, a ty pożałujesz, że nie zostałeś w Malezji czy gdzie tam byłeś.

Wyciągnął dłoń i delikatnie odgarnął jej grzywkę.

- O nie, jestem całkiem zadowolony z życia w Anglii

- mruknął. - Dawno nie było mi tak dobrze.

Przez chwilę myślała, że ją pocałuje, ale on ruszył ku drzwiom, mamrocząc coś, że taksówka czeka.

Gdy wkraczali przez podwójne dębowe drzwi głównego wejścia do imponującego gmachu, gdzie odbywała się konferencja,

Vicky poczuła przyływ radości. Kątem oka zauważyła

jeszcze jedną kobietę, ale cała reszta to byli panowie, wszyscy w poważnych, ciemnych garniturach. Co za szczęście, że kupiła ten kostium! Przynajmniej nie będzie się wśród nich wyróżniać. Rzuciła okiem na Adriana. Najwyraźniej czuł się swobodnie. Pewnie był na wielu takich konferencjach. A poza tym stał przecież o tyle wyżej od niej w hierarchii medycznej. Zaczęła się zastanawiać, czy nie zostaną posadzeni oddzielnie: ona z nowicjuszami, jeśli w ogóle są tu tacy, a on z najwybitniejszymi osobistościami.

- Adrian! - Wysoki, siwiejący mężczyzna o dystygowanym wyglądzie niemal rzucił się na nich. - Jakże się cieszę, że cię widzę! Adrian uściśnął mu rękę i odwrócił się, by ich sobie przedstawić.

- Richard Saunders. A to moja koleżanka, Vicky Parker. Vicky przywitała się ze starszym panem. Adrian wyjaśnił, że pracowali kiedyś razem w Londynie.

- To znaczy Richard był szefem, a ja jego asystentem. Zawdzięczam mu wiele praktycznej wiedzy chirurgicznej.

- Musicie przyjść do nas na kolację - powiedział Richard Saunders. - Odkąd przeszedłem na emeryturę, mieszkamy w Paryżu. Moja żona będzie zachwycona, mogąc was podjąć. Zadzwońię do hotelu. To pewnie Georges Cinq?

Adrian z uśmiechem skinął głową.

- Będzie nam bardzo miło.

Sala zaczęła się zapęlniać. Wszyscy przypinali sobie identyfikatory do kłap i sprawdzali miejsca. Vicky z wielką ulgą stwierdziła, że nie została rozdzielona z Adrianem. Stłumiony syk uciszył tłum, po czym wstał przewodniczący. Przemawiał po francusku. Vicky rozumiała co nieco, zrobiła jednak użytek ze słuchawek, przez które płynęło tłumaczenie na angielski.

Adrian wystąpił jako pierwszy. Podziwiała chłodne opanowanie,

z jakim wchodził na mównicę, rozdając uśmiechy na lewo i prawo, tak swobodny, jakby miał wygłosić toast, a nie poważny naukowy referat, który - jak się okazało

- zajął mu całą godzinę.

Była zachwycona. Zauważyła pewne złagodzenie poglądów, odejście od dotychczasowej, dogmatycznej postawy.

Czyżby to dlatego musiał ją wczoraj zostawić na progu pokoju i godzinami przerabiać tekst?

- Decyzję podejmuje komisja złożona z trzech doświadczonych lekarzy - mówił Adrian. - Musimy się liczyć z możliwością różnicy zdań. Ale najważniejszą osobą w tym procesie jest pacjent. Chory najbardziej zagrożony ma pierwszeństwo. Na postanowienia personelu medycznego nie mogą mieć wpływu względy osobiste.

Odchrząknął i jego oczy na moment spoczęły na Vicky, po czym znów skierował je na słuchaczy w tylnych rzędach.

- Nieważne, kim jest nasz pacjent. Jedyne, co się liczy, to jego stan kliniczny. W świecie idealnym przeszczep nerki byłby osiągalny dla każdego, kto by go potrzebował, ale na razie musimy pogodzić się z sytuacją, w której...

Vicky przełknęła kulę, która stanęła jej w gardle. Jego słowa brzmiały niezwykle przekonująco, ona jednak nie mogła pogodzić się z tym zimnym, logicznym, bezkompromisowym

podejściem. Mimo wszystko nadal wierzyła, że szara strefa istnieje.

Zorientowała się, że referat zbliża się do końca. Adrian przeniósł wzrok na rząd, w którym siedzieli oboje, i gdy wygłaszał ostatnie zdanie, utkwił w niej spojrzenie.

- A gdy już decyzja została podjęta, nie wolno żywić wątpliwości.

Schodził z mównicy wśród głośnych oklasków, uśmiechnięty. Po chwili opadł na krzesło obok Vicky.

- Gratuluję! - szepnęła.

- A więc zgadzasz się z tym, co mówiłem?

- Tego nie powiedziałam. Uznaję istnienie różnicy zdań. Ale tym razem byłeś mniej dogmatyczny. Może jeszcze zdołam cię przeciągnąć na swoją stronę.

Potrząsnął głową, a w jego oczach pojawiła się czułość.

- Nie masz szans... ale próbuj.

Na mównicę wszedł następny prelegent.. W przerwie

Adrian odciągnął ją na stronę.

- W bufecie czeka na nas lunch, ale może wyrwalibyśmy się na piknik do Lasku Bulońskiego?

- Brak sprzeciwu!

- Przegłosowane.

Adrian zatrzymał przechodzącego kelnera. Vicky rozróżniła kilka słów, które знаła ze szkoły... *poulet, pain, vin, salade...* Po kilku minutach dostali dużą, owiniętą w papier paczkę i wyszli na listopadowe słońce.

- Mamy dwie godziny - powiedział. - Jak to dobrze, że Francuzi z zasady nie spieszą się z lunchem.

Wędrowali po dywanie złotych liści w kierunku Lac Superieur. Trawa obeschła z rosy i mogli swobodnie usiąść na brzegu jeziora. Byli zupełnie sami, jeśli nie liczyć kilku przebiegających sportowców i kaczek czyhających na okruchy.

Adrian otworzył paczkę i wydobyl z niej duży papierowy obrus, który rozpostarł na trawie. Vicky zaczęła wypakowywać

jedzenie. Była tam także butelka wina. Adrian rozlał je do szklaneczek. Podniósł swoją w górę.

- Za udaną konferencję!

- To godny toast. Poranne referaty bardzo mnie zaciekały. Myślę, że wiele się nauczyłam.

- To mnie cieszy, bo mam wobec ciebie pewne plany

- odparł lekko i podał jej papierowy talerzyk z kawałkiem pieczonego kurczaka.

- Jakie plany?

Uśmiechnął się tajemniczo.

- O tym później. Teraz cieszymy się piknikiem. Oto mój następny toast: Oby nam się dobrze razem pracowało!

Zadrżała z podniecenia. Co też Adrian mógł zaplanować?

Nałożyła sobie sałaty z sosem vinaigrette i oderwała kawałek chrupiącej bagietki. Było ciepło, słonecznie. Zalała ją fala szczęścia.

- To jest życie! Nie spodziewałam się, że będziemy mogli spędzić trochę czasu w taki sposób.

- Wiesz, Vicky, nie musimy wracać na drugą część

konferencji. Jest tylko jeden referat, bardzo zawiły i nie z naszej dziedziny. Zresztą mogę wziąć kopię i przeczytamy ją sobie później.

Ich oczy spotkały się nad resztkami piknikowej uczyty.

- Co proponujesz? - spytała, starając się mówić spokojnym tonem.

- No cóż, nie można być w Paryżu i nie zobaczyć sławnych zabytków. Może byśmy poszli dzisiaj na wieżę Eiffla, wstąpili do Notre Dame...

- Montmartre - wpadła mu w słowo. - Moglibyśmy wejść na sam szczyt, do Sacre Coeur, i oglądać z góry cały Paryż.

Zaczęła szybko chować resztki do papierowej torby.

Adrian roześmiał się.

- Jeśli mamy tak bogaty program, to musimy się zbierać!

Vicky na chwilę przerwała sprzątanie.

- Chyba jestem trochę za bardzo wystrojona jak na wspinaczkę po wieżach i wzgórzach. Może wpadlibyśmy na chwilę do hotelu, żebym mogła zmienić ten oficjalny kostium? Był potwornie drogi, więc chciałabym utrzymać go w dobrym stanie przynajmniej do końca tygodnia.

- Dobry pomysł. Ja też się przebiorę.

Wrócili do hotelu taksówką. Vicky poszła do swojego pokoju i z szacunkiem odwiesiła kostium do szafy. Narzuciła szlafrok i boso podreptała do łazienki. Rzuciła okiem na swoją twarz w lustrze. Stanowczo za mocny makijaż. Na konferencję w sam raz, ale do swetra i dzinsów należy malować się delikatnie.

Nie zdawała sobie sprawy, jak dużo czasu zajęło jej usuwanie starego i tworzenie nowego obrazu swojej twarzy. Toteż gdy wyszła z łazienki, zdumiała się, widząc Adriana w sportowym stroju, siedzącego na krześle pod oknem.

- Pukałem, ale chyba mnie nie słyszałaś, więc otworzyłem drzwi między pokojami... od mojej strony się da.

Przyszedłem zobaczyć, co robisz tak długo.

Niemal czuła, jak jego oczy wędrują po jej jedwabnym szlafroku i zatrzymują się przy talii, na wysokości paska.

Jej dłonie powędrowały do wężła.

- Przepraszam, nie jestem jeszcze gotowa. Może...

Wstał i zrobił kilka kroków przez pokój.

- Nie szkodzi. Pójdę sobie, żebyś mogła się ubrać.

Patrzyła na niego. Był tak blisko. Czowała zapach jego wody po goleniu... mocny, męski, podniecający. Ich oczy się spotkały i Vicky dojrzała w jego wzroku czułość. On zapewne zobaczył uległość. Ich zespolenie zdawało się czymś najbardziej naturalnym na świecie. Gdy przyciągnął ją do siebie i gorąco pocałował, jej serce zaczęło bić jak szalone. Szlafrok się rozchylił. Poczwała na ciele szorstki materiał marynarki... A potem wziął ją na ręce i zaniósł przez wewnętrzne drzwi do swojego łóżka.

Z początku kochali się niespiesznie, ale wkrótce porwała ich wszechogarniająca namiętność. Vicky poszybowała wysoko w przestrzeń, gdzie nie docierają ziemskie troski... Podniosła ku niemu oczy, a on pocałował ją delikatnie.

Leżała mocno w niego wtulona.

Przenikliwy dzwonek telefonu ściągnął ich z powrotem na ziemię. Vicky zorientowała się, że to dzwoni Richard Saunders z zaproszeniem na kolację.

- I przyprowadź ze sobą tę uroczą młodziutką lekarkę
- usłyszała.

Adrian uściśnął jej dłoń.

- Poszukam jej i zobaczę, co się da zrobić, Richard.

Ona jest taka nieuchwytna.

- Wierzę, że ci się uda. Wpadnę po was do hotelu o ósmej.

Adrian odłożył słuchawkę.

- Mamy jeszcze parę godzin do proszonej kolacji. Czy nadal chcesz podbić Paryż?

Vicky przeciągnęła się, czując, jak fala zmysłowego ciepła przebiega jej ciało. Zaczęła wygrzebywać się z pogniecionej pościeli, ale on ją przytrzymał.

- Połóż się jeszcze na chwilę, Vicky. Chcę z tobą porozmawiać.

O naszej przyszłości.

Znów zwinęła się w jego ramionach. Serce jej było niespokojnie.

- zaproponowano mi stanowisko dyrektora w tym szpitalu w Malezji, w którym pracowałem, zanim przyjechałem do Northdale - zaczął ostrożnie. - Szpital ogromnie się rozbudowuje. Będzie jedną z większych międzynarodowych placówek medycznych, zwłaszcza jeśli chodzi o transplantologię. Zastanawiam się, czy nie zechciałabyś pojechać tam ze mną do pracy.

Wstrzymała oddech. Z zawodowego punktu widzenia to była życiowa szansa.

Usiadła.

- Muszę to przemyśleć. Potrzebuję trochę czasu, żeby się przystosować do... do...

- Nowej sytuacji? Ależ myśl, myśl... byle nie za długo. A teraz, wracając do zwiedzania...

Po tym cudownym, najbardziej ekscytującym popołudniu jej życia wieczór u Saundersów był trochę jak zgrzyt.

I Vicky, i Adrian, posmakowawszy szczęścia we własnym intymnym świecie, woleliby spędzić go tylko we dwoje.

Ale Saundersowie przygotowali wspaniałą kolację, a Vicky podobało się ich wytworne mieszkanie w pobliżu Palais de Chaillot. Gdy pani domu zaprosiła ją do sypialni, rzekomo po to, by odpoczęła, Vicky zrozumiała, że zostanie poddana przesłuchaniu.

- Dawno pani zna Adriana? - spytała Rosemary Saunders, sadowiac się na fotelu w stylu Ludwika XV i gestem zapraszając Vicky, by zrobiła to samo.

- Zaledwie kilka miesięcy - odparła, uświadamiając sobie, jak szybko ich znajomość zmieniła charakter.

- Pozwoli pani, że udzielię jej pewnej przestrogi, moja droga - powiedziała Rosemary Saunders, poprawiając znakomicie

ostrzyżone, srebrne włosy. - Niech pani w żadnym wypadku nie pozwoli sobie zakochać się w Adrianie. Richard i ja znamy go jeszcze z czasów studenckich i dobrze

go rozumiemy. Były kobiety, które popełniły ten błąd i zawróciły sobie nim głowę, nie wiedząc, że kobietą jego życia była Virginia. Kiedy umarła, powiedział mi, że już nigdy się nie ożeni. To był dla niego straszliwy cios. Obwinił się za to, co się z nią stało.

- A co się z nią stało? - spytała Vicky z wahaniem.

Pani Saunders zmarszczyła brwi.

- Czyżby pani nie wiedziała? W takim razie chyba powinna pani zapytać Adriana.

- Wolalabym dowiedzieć się od pani - odrzekła Vicky.

Rosemary Saunders zniżyła głos.

- Virginia miała zaawansowaną niewydolność nerek.

Mieli nadzieję na przeszczep... ale nie było jej to pisane.

Vicky poczuła, jak ogarnia ją lodowaty chłód. Skądś już zna tę sytuację.

- Ale dlaczego Adrian się za to obwinia?

Oczy pani domu przybrały nieodgadniony wyraz.

- Ach, o to proszę już zapytać Adriana. Może dołączymy teraz do panów?

Kilka następnych dni przeleciało jak z bicza strzelił wśród spotkań i dyskusji. Vicky chłoneła nowości i starała się wszystko zapamiętać. Ale późne wieczory należały do Adriana. Zwiedzali Paryż nocą, jedli kolację w restauracji albo po prostu spacerowali brzegiem Sekwany, wstępując czasem na drinka do ulicznej kafejki.

Ostatniego ranka konferencji Vicky otrzeźwiała. Ta romantyczna

idylla nie może trwać wiecznie. Ostrzeżono ją, żeby nie zakochiwała się w Adrianie... Cóż, na to było już trochę za późno. Celowo nie zapytała go o okoliczności śmierci żony. Bała się zburzyć to, co zrodziło się między nimi. Ale było dla niej jasne, że prędzej czy później będzie musiała dowiedzieć się prawdy.

Weszła do łazienki. Jeszcze tylko ten jeden dzień, powiedziała sobie, ostatni dzień w siódmym niebie, w zawieszaniu,

bez żadnych decyzji. Zejdzie na ziemię jutro

po południu, gdy ich samolot wylądował na Heathrow. Dziś czeka ich ostatnia noc w Paryżu. Wiedziała, że Adrian zaplanował coś nadzwyczajnego, tylko dla nich. Ktoś zapukał do drzwi. Narzuciła szlafrok i poszła otworzyć.

- Adrian! Nie jestem jeszcze gotowa... - Na widok jego chmurnej twarzy urwała.

- Kiedy możesz być gotowa? Musimy wracać do Anglii. Dzwonili ze szpitala, że jest nerka. Będą ją trzymać w lodzie do naszego przylotu. Jest zgodna z antygenami obu naszych najbardziej chorych pacjentów.

- Więc teraz tylko musimy zdecydować, kto ją dostanie

- powiedziała cicho.

- Decyzja już zapadła i ja ją zaaprobowalem - oświadczył spokojnie.

Wstrzymała oddech.

- Geoffrey czy Tom?

- To musi być Tom. Bez przeszczepu nie przeżyje nawet...

- A co z życiem Geoffrey a? On czeka o wiele dłużej. Jest z każdym dniem słabszy. Nie mogę patrzeć, jak jego stan się ciągle pogarsza!

Adrian przytulił ją do siebie.

- Geoffrey też dostanie przeszczep, gdy tylko będziemy mieli następną odpowiednią nerkę. Proszę cię, Vicky, nie komplikuj sytuacji.

Czuła, jak jego uścisk się zacieśnia i trwała bez ruchu, starając się nie stracić panowania nad sobą. Tego się właśnie obawiała. Znów są po przeciwnych stronach barykady, akurat gdy wszystko tak cudownie się między nimi układa...

ROZDZIAŁ JEDENASTY

Vicky rzuciła Adrianowi spojrzenie przez stół operacyjny. Od powrotu z Paryża niemal z nim nie rozmawiała. W samolocie powiedział jej, że odbył długą rozmowę telefoniczną z dwoma innymi doświadczonymi lekarzami i że wszyscy trzej byli zgodni co do tego, kto powinien dostać

nerkę.

- A co będzie, jeśli Geoffrey umrze, czekając na przeszczep?

- spytała ledwo słyszalnym głosem.

Właśnie przelatywali nad kanałem La Manche i stewardesa

spytała, czy napiją się szampana. Oboje odmówili.

Czas świętowania minął. Vicky czekała na odpowiedź Adriana.

Zwrócił na nią oczy pełne smutku.

- Jest to ryzyko, które musimy podjąć, Vicky. Nie mamy wyboru.

- Nie rozumiem, jak możesz podejmować takie decyzje i być przy tym tak spokojny i opanowany! - rzuciła z furją.

- Nigdy nie pracowałam z kimś bardziej denerwującym!

Nie od razu odpowiedział na jej wybuch.

- Rozumiem, że masz mnie dość i uznałaś, że nigdy nie dojdziemy do porozumienia. Całe szczęście, że się o tym przekonałaś, zanim zdecydowałaś się na pracę w Malezji.

Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale zmieniła zdanie.

W głowie miała zamęt. Adrian ma rację. Nigdy nie

dojdą do porozumienia. Złożyła głowę na oparciu fotela.

Uniesienie ostatnich dni przyszło, a z nim wszelka nadzieja

na miłość między nią a tym niemożliwym człowiekiem.

Przywołała się do porządku i skoncentrowała na skomplikowanej

operacji. Pam właśnie podawała Adrianowi

skalpel. Sterylne chusty całkowicie zasłaniały przed ich

wzrokiem pacjenta - Toma Dewhursta.

Odetchnęła głęboko, starając się nie myśleć o tym

drugim na oddziale dializ. Biedny Geoffrey czeka tak długo.

Wciąż miała przed oczami jego zrezygnowaną twarz,

gdy ona i Adrian informowali go, że przeszczep dostanie

Tom.

Ujęła haki i gdy Adrian preparował okolicę pachwinową,

wspomniała swoją ostatnią próbę podważenia tej decyzji.

Użyła argumentu, że tak długie oczekiwanie wyniszcza

Geoffreya psychicznie. Adrian odparował stwierdzeniem,

że Tom, jeśli nie dostanie tej nerki, pożyje najwyżej

kilka dni. Musiała się poddać.

Ale teraz, w miarę postępu operacji, starała się odsunąć od siebie uprzedzenia i pocieszyć się myślą, że darowują Tomowi nowe życie, nawet jeśli to się dzieje kosztem Geoffreya. Gdy zwolnili kleszczyki naczyniowe i przeszczepiona

nerka zaróżowiła się od krwi, poczuła ulgę.

Napotkała wzrok Adriana i ledwo dostrzegalnie skinęła głową na znak uznania, ale on pochylił się nad pacjentem.

Byli teraz po tej samej stronie barykady, chociaż między nimi nic się nie zmieniło.

Po kilku dniach Tom wrócił na oddział chirurgiczny.

Przez cały czas, jaki spędził na oddziale pooperacyjnym, a potem na intensywnej terapii, Vicky i Adrian byli na zmianę przy nim albo przynajmniej w pobliżu. Dla siebie nie mieli ani chwili. Od paryskiej idylli zdawały się dzielić ich lata. Jedyne ich rozmowy dotyczyły stanu pacjenta.

Tego ranka, gdy Vicky weszła na oddział chirurgii, zobaczyła, że Tom już tam jest. Adrian krzątał się przy nim, sprawdzając drożność drenów, a Graham Benson podłączał kroplówkę z soli fizjologicznej.

- Jak się czujesz, Tom? - spytała po krótkim przywitaniu z Adrianem i Grahamem.

Młody mężczyzna uśmiechnął się bohatersko.

- Czuję się już w życiu lepiej, ale przynajmniej wiem, że jestem na dobrej drodze. Współczuję biednemu Geoffreyowi, że ciągle czeka. Kiedy dostanie przeszczep?

- Kiedy opatrność pozwoli, Tom - odparła.

Kątem oka dojrzała, że Adrian się wyprostował.

- Prawdę mówiąc, to kwestia bardziej techniczna, Tom - wtrącił. - Jest pewna instytucja, którą nazywamy bankiem tkanek. Gdy pojawia się nerka, sprawdza się antygeny krwi i innych tkanek i przydziela ją pacjentowi o zgodnych parametrach.

- Problem polega na tym, że narządów do przeszczepów jest zawsze za mało - dodała Vicky, unikając wzroku Adriana - więc biedny Geoffrey może jeszcze długo czekać.

- Może mógłbym się z nim zobaczyć? - spytał pacjent.

- Zaprzyjaźniliśmy się w czasie dializ. On mnie zawsze rozśmieszał. Co prawda ostatnio trochę przycichł.

- Czemu nie? - Adrian skinął głową. - Po południu, bo teraz jest na dializie. Może kiedy zobaczy, jak dobrze sobie radzisz, podniesie go to na duchu.

- Oby - powiedziała cicho Vicky. - Biedak naprawdę tego potrzebuje.

Adrian dał jej znak i razem wyszli z pokoju.

- Nie wpadajmy w rozpacz - zaczął. - Geoffrey nie będzie już musiał długo czekać.

- Skąd wiesz?

Adrian zawahał się chwilę.

- Mam takie przeczucie.

Zdumiona, szeroko otworzyła oczy.

- Zdajesz sobie sprawę, że po raz pierwszy przyznałeś, że życie nie jest tylko czarno-białe? To ja jestem od przeczuć, uczuć, przesądów i tak dalej.

Uśmiechnął się z czułością i podniósł jej podbródek, tak że musiała spojrzeć mu w oczy.

- Może i masz na mnie większy wpływ, niż myślałem.

I Bóg jeden wie... - urwał w połowie zdania.

Kilka sekund wpatrywali się w siebie i Vicky poczuła, że czar Paryża powrócił. Na tym zimnym szpitalnym korytarzu

ich miłość zaczęła ożywać. Obok nich przechodzili ludzie, ale ona nie ruszała się z miejsca, w nadziei, że Adrian ją pocałuje. Tymczasem usłyszała:

- Czekają na mnie w przychodni.

Skinęła głową.

- Ja muszę wracać na oddział.

Tego dnia już się nie zobaczyli. Pracowała trochę z Grahamem,

ale głównie sama. Postanowiła, że jeśli upora się z pilnymi sprawami, może weźmie sobie wolne popołudnie. Ciągle myślała o Marshallach. Wiedziała, że prędzej czy później musi się do nich wybrać.

Przy lunchu uzgodniła to z Grahamem. Szybko zjadła sałatkę i pospieszyła do miasta, żeby złapać autobus.

Widząc ją na wąskiej dróżce, Mary Marshall otworzyła furtkę.

- Kogo ja widzę! - przywitała ją lodowatym głosem. - Czemu zawdzięczamy ten zaszczyt?

Vicky zmusiła się do uśmiechu. Była tak zmęczona pracowitym

porankiem w szpitalu i wędrówką pod górę, że za wszelką cenę chciała uniknąć snięcia.

- Przepraszam, że tak dawno was nie odwiedzałam. Byłam w Paryżu.

- Tak nam właśnie powiedziano, kiedy dzwoniliśmy się dowiedzieć, czy jeszcze tu pracujesz - prychnęła Mary. - No to wejdź, nie stój tak na zimnie. Tu już mróz. Założy się, że nie to co w Paryżu.

Myśli Vicky znów poszybowały do wytwornego hotelu, gdzie ona i Adrian byli tacy szczęśliwi. Zdawało jej się, że od tego czasu dzielą ją lata świetlne.

- Było dość chłodno - zaczęła potulnie - ale prawie tego nie zauważyliśmy... To znaczy, sala konferencyjna była ogrzewana - zakończyła, świadoma, że Mary wpatruje się w nią jak jastrząb.

- Jak słyszałam, byłaś ze swoim ukochanym - oświadczyła. Stała przed nią z założonymi rękami, jakby oczekiwała usprawiedliwień.

Vicky usiadła na twardym drewnianym stołku kuchennym.

Wspomniała, jak siadywała tu w dzieciństwie i malowała obrazki, a Mark obok niej. Pani Marshall była wtedy taka miła. Vicky wyobraziła ją sobie młodszą, uśmiechniętą,

podziwiającą ich malowidła. Co ją tak zmieniło? Strata Marka, a może coś jeszcze?

Zaschło jej w ustach na myśl o Samie. Mignął jej przed chwilą u końca dróżki. Wiózł młodą, ładną kobietę... podobną do Mary za jej młodych lat. Udał, że nie zauważył

Vicky i szybko odwrócił głowę w stronę swojej ciemnowłosej towarzyszk. Vicky była pewna, że to ta sama kobieta, którą widziała w pubie kilka tygodni temu, gdy była tam z Adrianem.

- A więc nie zaprzeczasz?

Oskarżycielski głos Mary Marshall przerwał tok jej myśli. Vicky podniosła na nią wzrok.

- Adrian Ferguson jest moim szefem - odparła spokojnie.

- Zabrał mnie na konferencję, żebym poszerzyła swoje horyzonty.

- No i co? - zaśmiała się szyderczo Mary. - Poszerzyłaś?

Z tego co słyszę, to w dość szczególny sposób. Matka Pam Harrison mówiła mi w zeszłym tygodniu, jak się prowadzisz. Vicky wstała.

- Przykro mi, Mary, ale nie masz prawa przemawiać do mnie w taki sposób.

- A ja uważam, że mam, moja droga. Łatwo ci przyszło zapomnieć, że miałaś zostać żoną mojego syna. Nie uważasz, że to trochę za wcześnie na romanse?

- Kochałam Marka. Kiedy umarł, mało mi serce nie pękło. Ale pięć lat to kawał czasu. Doszłam do wniosku, że muszę się pozbierać i zacząć żyć.

- Wstydu nie masz, ot co! Poczekaj, aż Sam wróci z zakupów. Zaraz powinien być. Już on ci wygarnie.

Na wzmiankę o Samie i jego rzekomych zakupach Vicky uważnie przyjrzała się osobie, która miała zostać jej teściową. Zobaczyła głęboko nieszczęśliwą kobietę, najpewniej

świadomą, co się dzieje za jej plecami, przerażoną i zrozpaczoną, że straci męża, tak jak straciła syna. Mary była typem kobiety, która poświęca całe życie rodzinie i gdyby została sama, nie wiedziałaby, co z sobą począć.

Vicky poczuła dla niej współczucie, ale jednocześnie zrozumiała, że dalszy spór z osobą, która przestała dostrzegać jakiegokolwiek racje poza własnymi, tylko ją udręczy.

Dla własnego zdrowia psychicznego powinna położyć temu kres.

- Przykro mi, Mary, że tak o mnie myślisz, bo ja zawsze byłam do ciebie bardzo przywiązana. Uważam jednak, że czas z tym skończyć. Moje wizyty tylko nas obie denerwują, więc nie będę już tu przychodziła.

Przez chwilę wydawało jej się, że Mary ją uderzy, ale

twardo stawiała jej czoło, aż tamta się opanowała.

- Jeśli możesz żyć z takim postępkim na sumieniu, to nie staję ci na drodze - oświadczyła posepnie. - Ja na twoim miejscu nie mogłabym tak porzucić swoich bliskich.

- Spokrewnione nie jesteśmy, Mary, ale w dzieciństwie szczerze cię kochałam. Przykro mi, że życie tak się z tobą obeszło.

Otworzyła drzwi od kuchni i wyszła na dwór. Było zimne, listopadowe popołudnie. Nad polami zawisła mgła.

Vicky odetchnęła, chcąc uspokoić rozedrgane nerwy. W tej chwili za jej plecami trzasnęły drzwi. Skończone. Ta część jej życia już za nią.

Ruszyła ścieżką w stronę szosy tak lekko, jakby zdjęto jej z ramion wielki ciężar. Jest wolna... wolna od uczuć, przy których zbyt długo się upierała.

Doszła do drogi. Do autobusu miała jeszcze mnóstwo czasu. Nagle tuż obok usłyszała pisk opon. Z niedowierzaniem

spojrzała na sportowy samochód.

- Adrian! Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

Wysiadł i otworzył przed nią drzwi.

- Od Grahama. Martwiłem się o ciebie. - Wsiadł i pochylił się ku niej. - Jak było?

- Jedźmy, Adrian. Jedźmy gdzieś, gdzie będziemy mogli porozmawiać. Nie chcę, żebyśmy się natknęli na Sama Marshalla. Na dzisiaj mam dość awantur.

Samochód wyrwał się naprzód. Ujechawszy kilka kilometrów, Adrian skręcił w wąską drogę zakończoną furtką, za którą widać było rzekę. Gdy stanęli, Vicky spojrzała na wezbrane brunatne wody. Na brzegu srebrzył się szron. Adrian wyłączył silnik i odwrócił się do niej.

- Opowiedz mi teraz o swojej wizycie u Marshallów.

Domyślam się, że nie przyjęli cię z otwartymi ramionami.

- To było okropne. Nigdy więcej tam nie pójde!

- Mądra decyzja. Niech każdy idzie swoją drogą. Nic im nie jesteś winna, szczególnie temu tam Samowi.

Wrogość w jego głosie przyprawiła ją o dreszcz.

- Myślisz, że on ma romans z tą kobietą? Dziś znów

ich widziałam.

- Ja to wiem. Sam mi powiedział, pięć lat temu.

- Dlaczego? - spytała z niedowierzaniem.

Nie od razu odpowiedział. Gdy wreszcie zaczął mówić, w jego głosie wyczuła napięcie.

- Bo tym uzasadnił swoją odmowę ofiarowania jednej nerki Markowi. Jak wiesz, najlepszym dawcą narządów jest bliski krewny i w większości takich przypadków rodzina sama się z tym ofiarowuje. W końcu z jedną nerką można żyć bez żadnego zagrożenia dla zdrowia. Robiliśmy Samowi i Mary badania i okazało się, że nerka Sama byłaby idealna.

Wszystko już było umówione, gdy nagle Sam zjawił się u mnie bez Mary i powiedział, że nie odda nerki. Wyjaśnił, że obawia się pogorszenia zdrowia, co mogłoby mieć zły wpływ na jego związek z przyjaciółką. Zapewniłem go, że kiedy tylko rana się zagoi, będzie w takiej samej formie jak przed operacją, ale nie zmienił zdania. Był absolutnie opętany przez tę kobietę. Ale chcąc być sprawiedliwym, muszę powiedzieć, że nie sądzę, by wówczas zdawał sobie sprawę, jak trudno będzie zdobyć nerkę dla Marka. Staralem się mu to uzmysłowić, ale nie chciał o niczym słuchać.

- Czy Mary o tym wiedziała?

Adrian pokręcił głową.

- Jeśli potencjalny dawca się wycofuje, pozwalamy rodzinie sądzić, że są przeciwwskazania medyczne, i taką wersję zna Mary Marshall. Tylko Sam i ja znamy prawdę. Ale tego dnia, kiedy odrzuciliśmy kandydaturę Marka do przeszczepu, miałem nadzieję, że Sam się złamie. Byłem przekonany, że zechce ratować życie jedynego syna...

Vicky wpatrywała się w wodę. Zapadał zmierzch, pociemniałe sylwetki drzew ponuro rysowały się na tle nieba.

Ogarnął ją smutek i głębokie znużenie.

- A więc dlatego Sam wpadł w taką wściekłość na twój widok? Stracił syna i dręczyło go poczucie winy. Pewnie nigdy przez myśl mu nie przeszło, że Mark umrze, zanim znajdzie się dla niego nerka. I kiedy zjawiłeś się ze mną na

farmie, wszystko to znów stało mu przed oczami. Bał się, że powiesz coś, co zdradzi go przed Mary. Ale jak mógł być tak nieczuły, nie pomóc własnemu dziecku...?

- Nie zapominaj, że płaci za to przez resztę życia. Dlatego ma w sobie tyle gorzkości. Jediną radość czerpie z tego potajemnego romansu.

- I wpędza do grobu swoją żonę! Jestem pewna, że ona wie. Uważam, że powinno się porozmawiać z jej lekarzem. Tak się zmieniła...

- Marshallowie, jak wszyscy, sami muszą rozwiązywać swoje problemy, Vicky. Ty masz własne. Skorzystaj z okazji, żeby zamknąć ten rozdział. Życie nie stoi w miejscu.

Trzeba iść razem z nim.

Opadł wygodnie na siedzenie. Rękę zarzucił swobodnie na oparcie jej fotela.

- W moim życiu też niebawem nastąpią zmiany. Zaczęłam już przygotowania do wyjazdu do Malezji, zaraz po Bożym Narodzeniu. Postanowiłam zamknąć restaurację, ale zatrzymam dom, żeby mieć gdzie mieszkać, kiedy czasem odwiedzę Anglię. Pani Gray wyjeżdża. Przenosi się do siostry w Kornwalii, gdzie chce otworzyć maleńką herbaciarnię.

Nosiła się z tym zamiarem od dłuższego czasu.

Restauracja za bardzo ją już męczyła.

Myśl, że Adriana nie będzie tu wiosną, wydała się Vicky nie do zniesienia. Prosił ją, żeby z nim jechała, a ona go odrzuciła... ale przecież powiedziała to w złości. A gdyby teraz ją poprosił? Czy powiedziała by mu, że nie może bez niego żyć?

Dostrzegła w jego oczach zadumę. Czyżby też wspominał ich wspólne dni w Paryżu?

- Mam wrażenie, Adrianie - zaczęła ostrożnie - że wtedy w samolocie byłam wobec ciebie trochę zbyt szorstka. Ja...

- Pst! - szepnął, kładąc jej palec na ustach. - Każde z nas było sobą, to wszystko. Jesteśmy bardzo różni, ty i ja, ale możemy szanować swoje poglądy. Na siłę nie wolno nikogo zmieniać. Trzeba akceptować różnice.

Przytulił ją delikatnie. Nie opierała się. Czowała bicie jego serca na swoim.

Miała ochotę krzyknąć: Zapytaj mnie jeszcze raz, czy z tobą pojadę.

- Myślę, że ty też powinnaś uporządkować swoje życie
- powiedział łagodnie. - W Paryżu było cudownie, ale wiedziałem, że jestem dla ciebie tylko krótkim interludium.

Przelotna, nierealna przygoda, w której możesz grać jakąś rolę, zanim wrócisz do swojej prawdziwej postaci i...

- Nie, Adrian, mylisz się! Ja w Paryżu żyłam... żyłam bardziej niż kiedykolwiek przedtem. Nie grałam.

Przytulił ją mocniej i zachłannie wpił się w jej usta.

Ciało jej przebiegł wibrujący dreszcz. Gdy oderwali się od siebie, widziała w jego oczach czułość.

- Wiem, że nie grałaś - szepnął. - Ale jak długo wytrwałabyś w uczuciach? Prędzej czy później wróciłyby wątpliwości... Poczulałabyś, że z przeszłością jesteś związana bardziej niż ze mną.

Zdławiła szloch. Wiedziała, że Adrian ma rację. Kilka idyllicznych dni to jedno, a stały związek - całkiem co innego. Musiałyby przekreślić przeszłość. Nigdy, przenigdy nie mogłaby pomyśleć, że to właśnie Adrian owego fatalnego dnia zmienił bieg jej życia.

- Staralam się... Dlatego tu wróciłam; żeby zobaczyć miejsce, gdzie ja i Mark byliśmy szczęśliwi, pożegnać tę część mojego życia.

- Musisz iść jeszcze dalej. Musisz sobie przypomnieć, jaka byłaś przed Markiem, wtedy, kiedy byłaś naprawdę wolna. Powinnaś pojechać do rodziców.

Spojrzała na niego zdumiona.

- Ależ moi rodzice mieszkają na drugim końcu świata, w Australii!

- Twój kontrakt niedługo się kończy. Nie musisz go odnawiać. Możesz pojechać do Australii i znaleźć sobie pracę tam, blisko rodziców. Świat zrobił się mały. Wsiadasz do samolotu i za kilka godzin jesteś na miejscu. A staniesz się znacznie lepszym lekarzem, jeśli przestaniesz myśleć o tym, co się wydarzyło pięć lat temu.

Vicky odsunęła się. Treść jego słów wzbudziła jej czujność.

- Czyżbyś chciał się mnie pozbyć? - spytała nienaturalnie lekkim tonem.

Zaprzeczył ruchem głowy.

- W przyszłym roku mnie już tu nie będzie. Radzę ci tylko to, co uważam za najlepsze dla ciebie.

Musnął jej policzek wargami, jakby na pożegnanie.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

Wysoka choinka na korytarzu oddziału chirurgicznego przypominała o nadchodzących świętach. Vicky ciągle brakowało czasu. Nie tylko miała mnóstwo pracy, ale musiała też podjąć decyzję co do swojej przyszłości. Adrian miał rację. Potrzebuje radykalnej zmiany. Od tak dawna nie żyła pełnią życia. Musi się odnaleźć, przypomnieć sobie, kim była przed tragicznymi wydarzeniami sprzed pięciu lat.

Któregoś dnia zadzwoniła do rodziców. Byli zachwyceni jej pomysłem przyjazdu. Matka spytała od razu, dlaczego nie miałyby poszukać sobie pracy gdzieś w pobliżu ich domu, a ojciec wyraził tę samą opinię, co Adrian: powinna opuścić miejsce, gdzie się urodziła i zapomnieć o przeszłości. Czas iść dalej...

- Hej, wróć do nas!

Vicky podniosła głowę znad notatek, które rzekomo przeglądała, zawstydzona, że znów się zamyśliła. Na twarzy Pam malowała się przyjacielska troska.

- Dokąd to powędrowałaś myślami, Vicky?

- Mam ostatnio sporo na głowie, Pam.

- Miejmy nadzieję, że do świąt nastrój ci się poprawi.

Zrobimy pacjentom bal. Kto żyw pójdzie do domu, zostaną tylko ci, których nie da się wypisać.

- Myślę, że powinniśmy dać Geoffreyowi przepustkę, żeby mógł pobyć ze swoją dziewczyną.

- Powiedz to Adrianowi. On uważa, że Geoffrey powinien być cały czas na miejscu, na wypadek gdyby znalazła się nerka.

- To by dopiero było wydarzenie! - Vicky westchnęła.
- Nad tym chłopakiem ciąży chyba jakaś klątwa. Jestem przekonana...

Urwała, bo w drzwiach stanął Adrian.

- O czym jesteś przekonana? - spytał.

Serce zabiło jej szybciej, jak zwykle, gdy znajdował się obok niej. Stwierdziła, że sprzeczne emocje, które nią targają, są coraz bardziej wyczerpujące. Najlepiej będzie zachować chłodny dystans. Gdy przemówiła, jej głos brzmiał wręcz szorstko.

- Chciałam właśnie powiedzieć, że nie widzę szans, żeby biedny Geoffrey w przewidywalnej przyszłości doczekał się przeszczepu. Śmiało można go puścić na święta do domu. Przy jego szczęściu nawet jeśli nerka się znajdzie, na pewno ktoś przeskoczy go w kolejce.

Adrian zmarszczył brwi.

- To nie jest odpowiedni temat do żartów.

- A kto tu żartuje? - odparowała.

- Naprawdę nie wiem, co was opętało - zauważyła uszczypliwie Pam. - Ciągłe skaczenie sobie do oczu. Czy nigdy nie zapanuje między wami pokój?

- Może w Boże Narodzenie - podsunął Adrian spokojnie.

- Co o tym myślisz, Vicky?

- Mam nadzieję. - Zdobyła się na uśmiech.

Przez kilka następnych dni prawie nie widywała Adriana. Wiedziała, że często wyjeżdżali gdzieś z Pam jego samochodem

- pewnie do niego. Przypuszczalnie po wyjeździe pani Gray zajmowali się nowym urządzeniem domu. Adrian najwyraźniej całkiem zerwał z przeszłością, tymczasem ona była dopiero u początku drogi.

W Wigilię przysłała na oddział chirurgiczny, aby zaśpiewać kolędy z pacjentami. Przy choince stał już chórek z miejscowego kościoła i śpiewał „Cichą noc”.

Poczuła ucisk w gardle. Z nostalgią wspomniała inne święta. Ojciec przy świątecznym stole, krojący indyka...

- O czym myślisz? - szepnął niespodziewanie Adrian, zaglądając jej przez ramię do śpiewnika.

- Podobno mamy śpiewać - skarciła go, ale mimo wszystko jego bliskość przejęła ją radością. - To tylko nostalgia. Święta zawsze tak na mnie wpływają. Położył jej dłoń na ramieniu.

- Czy to początek świątecznego rozejmu?

- Oby - szepnęła z uśmiechem.

Gdy chór zakończył występ, Adrian pociągnął ją na bok.

- Po obchodzie chciałbym cię zabrać na kolację.

- Wszystko będzie pozamykane. Przecież to Wigilia, zapomniałeś? To nie Londyn - odparła pozornie bez troski, choć serce biło jej w piersi jak szalone.

Roześmiał się.

- Usmażę ci w domu pyszny omlet.

Zatęskniła nagle za tym, by znów zająć miejsce w jego życiu. Tęskniła za jego obecnością, za radością, jaką dawał jej ich związek, za sam na sam z nim... a przecież cichy głos wewnętrzny ostrzegał ją, że znów się sparzy. Po świętach wszystko się zmieni. Ale w końcu czy ma coś do stracenia? To będzie tylko jeden miły wieczór, rozrywka, która rozproszy smutny nastrój.

- Chętnie zobaczę twój dom - powiedziała. - Chyba Pam bardzo się przy nim napracowała.

- Była nieoceniona. Dziś świętuje z rodziną. Zawsze spędza z nimi Wigilię, żeby w Boże Narodzenie być z pacjentami.

To tylko takie nierodzinne typy jak ty i ja mogą tkwić w szpitalu przez całe święta. Chodź, zrobimy obchód. Po godzinie jechali ciemną szosą przez dolinę w kierunku domu Adriana. Niebo rozświetlał sierp księżyca. Wtem firmament przecięła spadająca gwiazda. Adrian też ją zauważył.

- Szybko, Vicky, życzenie. Tylko mi nie mów, co to jest. Zamknęła oczy i pomyślała. To było nierealne życzenie, ale co tam! Miło pomarzyć, zwłaszcza w święta.

W domu nad rzeką kilka pokoi było oświetlonych.

- Wygląda na zamieszkaną - zauważyła.

- I dobrze. Wydałem majątek na system alarmowy i światła, które włączają się co jakiś czas. Nigdy dość środków

ostrożności.

Otworzył jej drzwi samochodu.

- Dobrze ci się mieszka samemu? - spytała rzeczowo.

- Nie miałem czasu się nad tym zastanawiać - odparł gładko. - Tyle było zamieszania z hydraulikami, elektrykami, murarzami...

- Zrobiłeś to! - wykrzyknęła Vicky, gdy jej oczy przyzwyczyły

się do ciemności i dostrzegła na rzece wąski, kamienny most. - Ach, jaki piękny!

Kamienie, z których składała się łukowata staroświecka konstrukcja, wyglądały na bardzo stare, zupełnie jakby przeniesiono je z autentycznego starego mostu. Vicky wbiegła i zatrzymała się dopiero na środku, w najwyższym punkcie. Spojrzała w dół, na rzekę.

Adrian przystanął obok i oparł się o balustradę.

- Cieszę się, że ci się podoba. Musiałem się nieźle namęczyć, żeby namówić budowlanców do przenoszenia tu kamienia po kamieniu. Bo kupiłem cały most znad wyschniętej

od dawna rzeki na wrzosowiskach Yorkshire.

Zbudowano go w czasach, kiedy juczne konie dźwigały towary między Lancashire a Yorkshire. Wyczytałem to w „Country Life”.

- Ale cieszę się, że nie można przez niego przejechać samochodem - powiedziała cicho. - Dzięki temu ten dom jest nadal... - urwała zakłopotana.

Jak na osobę, która właśnie planuje rozpoczęcie nowego życia, stanowczo zbyt jawnie wyraża przywiązanie do tego miejsca.

Ręka Adriana otoczyła jej ramiona. Ciepło jego ciała było zarazem kojące i niepokojące.

- Marzniesz - mruknął. - Chodźmy do domu.

Kominek był już przygotowany do palenia. Wystarczyło, że Adrian przytknął zapalną i po pokoju rozszedł się aromat sosnowych szyszek.

Vicky rozejrzała się dokoła. Wnętrze wyglądało właściwie tak samo jak przedtem.

- A więc co się zmieniło? - spytała, sadowiac się na kanapie wśród miękkich, obszytych kretonem poduszek.

- W tym pokoju nic... Jest taki, jakim go pamiętam z dzieciństwa. Na każdych wakacjach byłem tu szczęśliwy. Usiadł obok niej i podał jej kieliszek szampana.

- Wesołych świąt, Vicky.

Tręcili się kieliszkami.

- Opowiedz mi, dlaczego spędzałeś tyle czasu u ciotki?

- Urodziłem się, kiedy oboje rodzice byli już po czterdziestce. Byłem jedynakiem. Jestem pewien, że nie planowali tego i chociaż byli dla mnie dobrzy, to jednak zawsze tacy dalecy i niedostępni. Nie mieściłem się w ich rozkładzie zajęć. Oboje byli lekarzami, zawsze zapracowani, tylko im przeszkadzałem. Więc wysyłali mnie tutaj, do siostry matki. Dość wcześnie przeszli na emeryturę, żeby móc podróżować, ale nigdy nie przyszło im do głowy, żeby zabierać mnie ze sobą. Zimą spędzali zawsze na wyspach Bahama, na nie kończących się rozgrywkach brydżowych z innymi rodakami, jak przypuszczam. A latem jechali na południe Francji, ale towarzystwo nastoletniego syna było dla nich zbyt kłopotliwe.

- Więc przyjeżdżałeś tutaj i zaprzyjaźniłeś się z Pam.

- Tak, to były dobre czasy. Ale minęły. - Wzruszył ramionami. - Opowiedz mi o swoim dzieciństwie.

- Nie bardzo jest o czym opowiadać. Mieszkaliśmy na farmie po sąsiedzku z Marshallami i nigdy nie wystawialiśmy nosa poza dolinę. I tak zresztą nie zauważyłbyś małej dziewczynki, kiedy sam byłeś już prawie mężczyzną. Mój brat, który mieszka teraz w Australii, przyjaźnił się z Markiem i mnie też czasem dopuszczali do zabawy. Kiedy ja i Mark podrośliśmy, zainteresowaliśmy się sobą. Było nieuniknione,

że to on zostanie moim chłopakiem. Nikogo innego nie znałam. Ale kiedy myślę o tym teraz, widzę, że nie był to jakiś bardzo romantyczny związek. Zbliżaliśmy się do siebie stopniowo i nie przypominam sobie, żebyśmy byli naprawdę zakochani. To nie było tak jak... - urwała. Czowała, że szampan zanadto rozwiązał jej język. Spróbowała

wyrazić się inaczej: - To nie było takie uczucie, którego się doświadcza, kiedy... Ojej, jeszcze gorzej.

Adrian odstawił kieliszek i przysunął się do niej.

- Chcesz powiedzieć, że być zakochanym to najpiękniejsze uczucie na świecie? Nie można się co do tego pomylić, i wszystko nabiera barw. Człowiek budzi się jak zaczarowany, a wieczorem nie może znieść, że musi powiedzieć

ukochanej osobie „dobranoc”.

Był teraz bardzo blisko. Gdy ją całował, czuła bicie jego serca.

- Tak, właśnie tak to jest - potwierdziła miękko, gdy oderwał od niej usta. - Widać, że masz wiele doświadczenia.

- Mnóstwo - szepnął. - Ale za mało w nim było miłości.

I wtedy wtuliła się w jego ramiona. Miłość znów ogarnęła ją bez reszty. Starła się z nią walczyć, ale to było niemożliwe. Jego wargi stały się teraz zaborcze. Rozchyliła usta, smakując słodycz tej chwili. Drżała z pożądania.

Wspomnienia ich wspólnych nocy były zbyt natarcywe, by dać się odpędzić. Niczego więcej nie pragnęła, tylko wrócić do tego rajy na ziemi, który razem stworzyli.

Gdzieś w odległej rzeczywistości zadzwonił telefon.

- Adrian - Vicky spróbowała się wyswobodzić - chyba telefon dzwoni.

Adrian jęknął i rozluźnił uścisk.

- Słyszę. - Sięgnął na sąsiedni stoliczek. - Tak?

Vicky nasłuchiwała z zamierającym sercem. Już po chwili zdała sobie sprawę, że to na pewno szpital.

Odłożył słuchawkę.

- Musiałem powiedzieć, że przyjeździemy.

- Oczywiście. Coś złego?

- Coś dobrego. - Uśmiechnął się. - Mają nerkę, która powinna być zgodna z antygenami Geoffreya.

- Och, to cudowny prezent gwiazdkowy!

Adrian ujął jej dłonie i przycisnął do ust.

- Nie dawajmy się przedwcześnie ponosić euforii.

Przed nami jeszcze długa droga.

- Tym razem się uda. Wiem to na pewno!

Dziwny wyraz jego oczu przejął ją lękiem.

- Nie możemy wiedzieć niczego na pewno, Vicky. Musimy się zachowywać jak zawodowcy. Nawet nie wiemy jeszcze, czy nerka rzeczywiście jest zgodna.

- Ani czy dostanie ją Geoffrey - dodała beznamiętnie, wiedząc, że tymi słowami poświadcza swój powrót na ziemię.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Pam, pospiesznie ściągnięta z domu, przygotowała już salę operacyjną. Badania wykazały, że nerka idealnie nadaje się dla Geoffreya. Gdy uśpiony pacjent wjechał w krąg jaskrawego światła, Vicky z trudem hamowała podniecenie. Spojrzała przez stół na Pam i Adriana, którzy sprawiali wrażenie całkowicie obojętnych.

W duszy modliła się, żeby się udało, żeby tym razem wszystko poszło dobrze. Tak, zdawała sobie sprawę, że nie należy angażować się uczuciowo w sprawy pacjentów, ale ona ulega czasem emocjom i nic na to nie poradzi. Może gdy nabierze takiego doświadczenia jak Adrian i Pam, będzie umiała zachować dystans.

Operacja przebiegła sprawnie z jednym wyjątkiem: kiedy zwolnili zacisk kleszczyków naczyniowych, nowa nerka powinna w mgnieniu oka wypełnić się krwią. Tymczasem sekundy płynęły i nic się nie działo... A w czasie tych kilku sekund ciało Vicky pod zielonym strojem chirurgicznym pokrył zimny pot.

I wtedy Adrian odkrył, w czym rzecz. Była to kwestia czysto techniczna, wymagająca jednego drobnego ruchu narzędziem. Gdy wykonał ten ruch wyprostował się, Vicky dojrzała w jego oczach nad maską wyraz napięcia. A gdy nerka zaróżowiła się od świeżej krwi tętnicznej, pojawiła się ulga. On tylko sprawiał wrażenie obojętnego.

W głębi serca bał się tak samo jak ona.

Po skończonej operacji Vicky zaofiarowała się zostać z Geoffreym w sali pooperacyjnej, ale Adrian powiedział, że nie ma potrzeby.

- Pielęgniarki poradzą sobie doskonale. Idź spać. Traktuj

to jak polecenie służbowe. Nie życzę sobie, żebyś zemdląła podczas operacji krojenia indyka.

- Zapomniałam, że dziś Boże Narodzenie. - Uśmiechnęła się znużona. - To była najdłuższa Wigilia, jaką kiedykolwiek przeżyłam.

Gdy przechodziła koło niego, poczuła znajomy zmysłowy dreszcz. I choć była wyczerpana, wątpiła, czy zdoła zasnąć.

Długo przewracała się z boku na bok. Ciało jej było obolałe ze zmęczenia, ale umysł nie chciał się uspokoić.

Wreszcie jednak musiała zasnąć, bo obudził ją tupot na korytarzu i radosne okrzyki „Wesołych świąt!”. Miała wrażenie,

że spała tylko kilka sekund, ale przez zasłony do pokoju wkradały się blade promienie grudniowego słońca.

. Postanowiła włożyć jakiś wytworny strój: w końcu to Boże Narodzenie. Pacjentom będzie przyjemnie, a i Adrian na pewno zauważy...

Wybrała czerwoną sukienkę z czarnym, jedwabnym kołnierzem. Najzupełniej nieodpowiednia do pracy, przyznała przed sobą, ale zaakcentuje świąteczny nastrój.

Geoffreya zastała już na oddziale chirurgicznym. Był całkowicie przytomny i żartował z pielęgniarkami.

- Na obiad proszę duży kawał indyka, pani doktor - oświadczył. - Koniecznie z nadzieniem. No i butelkę piwa.

Vicky z uśmiechem sprawdziła kroplówkę.

- Już niedługo, Geoffrey, ale obawiam się, że nie dzisiaj.

- Kiedy przyjdzie Sharon, proszę zamknąć drzwi, dobrze?

Mam zamiar się oświadczyć i nie chcę, żeby ktoś widział mnie na kolanach.

Vicky poczuła przyływ radości.

- To wspaniała nowina, Geoffrey. Mam nadzieję, że Sharon powie „tak”, ale mimo wszystko nie wychodź z łóżka. Padniesz przed nią na kolana innym razem, kiedy nie będzie tych wszystkich rurek.

Adrian wpadł na krótko, żeby sprawdzić stan Geoffreya, po czym zniknął i wrócił dopiero na krojenie indyka.

Gdy uprzątnięto resztki świątecznej uczt i na oddział

zaczęli napływać goście, Pam zasugerowała Vicky, żeby schronić się w dyżurce i dać odpocząć nogom.

- Nie wiem, jak ciebie, Vicky, ale mnie ranna zmiana po nocnej pracy naprawdę męczy. To chyba starość.

Vicky zrzuciła pantofle i poruszyła palcami. Sięgnęła po kubek z herbatą, którą zaparzyła dla niej Pam.

- Masz na myśli fakt, że zaledwie pięciu lat brakuje ci do czterdziestki? - spytała z udawaną powagą.

- Teraz już tylko czterech! Miałam urodziny, kiedy ty rozbijałaś się po Paryżu z Adrianem - odparła Pam ze zgryźliwym uśmieszkiem. - A teraz, Vicky, chcę znać prawdę.

Znamy się przecież nie od dziś. Co czujesz do Adriana?

Powiedz, jeśli chcesz, że jestem wścibska, ale znam go od dziecka. Jest dla mnie jak brat. Nie chcę, żeby któreś z was cierpiało i...

W tej chwili drzwi dyżurki otworzyły się na oścież.

Adrian, posepny, choć opanowany, zmierzył je wzrokiem.

- Mary Marshall próbowała popełnić samobójstwo.

Jest teraz w izbie przyjęć.

- O Boże! - Zdjęta grozą Vicky przyłożyła dłoń do ust.

- Połknęła jakieś tabletki. Musimy się dowiedzieć, co to było, i zrobić płukanie żołądka.

Vicky zerwała się na równe nogi.

- Chcę być przy niej. To moja wina. Nie powinnam była zostawiać jej tak w Boże Narodzenie.

Adrian chwycił ją za ramiona.

- Żadna twoja wina! Zrobiłaby to tak czy owak. Każdy sam odpowiada za swoje czyny, ale jeśli w ogóle ktoś powinien

czuć się winny, to jej mąż. Chodź, pójdziemy do niej.

W izbie przyjęć ledwo rozpoznała Mary. Było już po płukaniu żołądka. Vicky i Adrian przyszli w samą porę, by móc zbadać zawartość popłuczyn.

- Niezły koktajl - zauważyła Vicky.

- Pójdzie do analizy. Ale zobacz, chyba odzyskuje przytomność. - Adrian chwycił Mary za ramię i mocno potrząsnął. - Słyszysz mnie, Mary? Powiedz coś!

Vicky usłyszała długi, niski jęk, a potem schrypięty

głos:

- Dlaczego nie pozwolicie mi umrzeć? Zostawcie mnie.

Nagle rozsunęły się zasłonki i do boksu wpadł Sam Marshall. W zmierzwiionych, siwiejących włosach miał odrobinę srebrnego brokatu, a w górnej kieszonce tweedowej marynarki gałązkę jemioloły.

- Co tu się dzieje, matka? - spytał wystraszonym głosem.

- Coś ty sobie zrobiła?

- Pańska żona usiłowała popełnić samobójstwo - poinformował

go Adrian. - Na szczęście ktoś z parafii przy-

a

szedł zobaczyć, dlaczego nie była na mszy. Znaleziono ją na podłodze w kuchni i wezwano pogotowie. Rozumiem, że pana nie było dziś w domu.

- No więc, nie, rzeczywiście, że to dziś święto, byłem...

- Byłeś z tą swoją lalą - szepnęła niewyraźnie Mary. -

Ja wiedziałam, gdzie jesteś, i pomyślałam, że będziesz szczęśliwszy, jeśli mnie już nie będzie, kiedy wrócisz. Sam postąpił kilka kroków naprzód.

- Nie mów tak, matka.

- Nie jestem twoją matką... jestem twoją żoną - odparła Mary znużonym głosem.

Twarz Sama zmarszczyła się jeszcze bardziej i nagle zaczął szlochać. W pierwszej chwili Vicky myślała, że udaje, ale zobaczyła, że po jego pobrużdżonych policzkach toczą się prawdziwe łzy. Przypomniała sobie, jaki dobry był dla niej w dzieciństwie. Jak brał ją i Marka, sadzał ich sobie na kolanach i czytał im bajki z grubej książki, która wciąż jeszcze stoi na kredensie w kuchni Marshallów.

W głębi serca był dobrym człowiekiem, więc jak to się stało, że tak zblądził?

- Przepraszam cię, Mary - powiedział, gdy odzyskał panowanie nad sobą. - Jak to mówią, nie ma gorszego głupca niż stary głupiec. To ona, ta mała, zawróciła mi w głowie. Ale nigdy nie myślałem, że mógłbym z jej powodu stracić ciebie. Ty jedna jesteś warta dziesięciu takich jak ona. Nie będę się z nią więcej spotykać. Czas wrócić

do rozumu na stare lata. Nie jestem już taki młody. Pochylił się nad żoną i pocałował ją w policzek. Vicky spojrzała na Adriana, który z uśmiechem dawał jej znaki, żeby zostawili ich samych.

- Myślę, że to było wołanie o pomoc - zauważył, gdy wyszli. - Nie sądzę, żeby pani Marshall naprawdę chciała się zabić.

- Odwiedzę ją na oddziale - postanowiła Vicky. - Bo przecież zostanie tu do jutra, prawda?

Pielęgniarka izby przyjęć skinęła głową.

- Czy to pani znajoma, pani doktor?

- Nawet bardzo bliska - odparła Vicky. Idąc z Adrianem po korytarzu, dodała: - Ale czas już z tym skończyć... trzeba pójść naprzód.

Otoczył ją ramieniem i przyciągnął tak, że musiała spojrzeć mu prosto w oczy, i to na środku korytarza!

- Grzeczna dziewczynka! - pochwalił ją. - Nie cofaj się tylko z tego powodu. Idź przed siebie...

Przytaknęła ruchem głowy, bo wiedziała, że jeśli otworzy usta, to się rozplacze.

Nowy Rok minął jak z bicia strzelił w wirze szpitalnej pracy i świątecznych zabaw. Geoffrey Gobdall zdrowiał błyskawicznie. Sharon przychodziła codziennie i relacjonowała

pielęgniarkom stan przygotowań do wesela. Zaplanowany na Wielkanoc ślub w kościele parafialnym

w Northdale zapowiadał się na wydarzenie roku. Prawie cały personel otrzymał już wstępne zaproszenia.

Gdy Sharon zagadnęła Vicky, czy będzie mogła przyjść, ta znalazła się w niezręcznej sytuacji. Nie dalej jak rano rozmawiała przez telefon z matką na temat możliwości znalezienia pracy w Australii, w pobliżu miejsca zamieszkania rodziców.

- Nie sądzę, żebyś miała z tym jakieś problemy, Vicky

- powiedziała matka - ale najpierw musisz trochę odpocząć. Możesz mieszkać u nas, jak długo zechcesz i spokojnie się rozglądać. Z jakim wyprzedzeniem musisz złożyć wypowiedzenie w Northdale?

Vicky wyjaśniła, że jest zatrudniona na sześciomiesięcznym kontrakcie, który wygasa z końcem stycznia. Wystarczy, jeśli powie kierownictwu, że nie chce go przedłużyć i może jechać do Australii.

Mając w pamięci tę rozmowę, nie bardzo wiedziała, co powiedzieć Sharon. Rzuciła okiem na Pam i Adriana, którzy też zostali przed chwilą zaproszeni.

- Nie zdążyłam jeszcze nikogo poinformować, ale nie zamierzam przedłużać kontraktu. Przykro mi, Sharon, nie będę mogła przyjąć na wasz ślub.

Zauważyła szybką wymianę spojrzeń między Pam i Adrianem.

- Szkoda - powiedziała dziewczyna. - Geoffrey chciał, żebyście byli wszyscy. Jest wam taki wdzięczny, że uratowaliście

mu życie i w ogóle byliście wspaniali.

- Przyjdę z przyjemnością - obiecała Pam.

Adrian przeprosił i wyjaśnił, że będzie już w tym czasie w Malezji, ale życzy im szczęścia w nowym wspólnym życiu.

Narieczona Geoffreya, radośnie uśmiechnięta, opuściła oddział.

- Zrobiłaś nam niespodziankę, Vicky - rzekła Pam, gdy zostali tylko we trójkę i mogli znów rozmawiać swobodnie.

- Żle ci tu?

- Chyba nie o to chodzi - wtrącił szybko Adrian. - O ile wiem, Vicky uznała, że potrzebuje radykalnej zmiany.

Pam spoglądała ciekawie to na jedno, to na drugie.

- Rozumiem. No cóż, szkoda, że odchodzisz, Vicky.

I to akurat teraz, kiedy Hartley Dawson wraca ze Stanów.

O ile pamiętam, to na początku właśnie z nim chciałaś pracować. Dokąd się wybierasz?

- Do Australii. Moja rodzina tam mieszka.

- Ach, więc wszystko już załatwione? Przypuszczam, że masz tam pracę?

Vicky zawahała się. Nagle cały ten pomysł wydał jej się nedorzecznym. Oto stoi przed nią ten jeden jedyny, który wyrzucił jej świat do góry nogami, który przywrócił ją

zyciu... a ona porzuca to wszystko i wyrusza sama w nieznaną przyszłość. Ale wiedziała, że musi się trzymać swoich planów. Zaszła już tak daleko, że nie ma odwrotu.

- Tak, wszystko załatwione - przytaknęła.

No, w każdym razie będzie, kiedy tylko się tam znajdzie.

To tylko niewinne kłamstwo, które pomoże jej wytrwać w postanowieniu.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Vicky pozostał już tylko tydzień do wyjazdu z Northdale.

Dreńczyły ją wyrzuty sumienia, że nie odwiedziła Mary Marshall po wyjściu ze szpitala. Była u niej co prawda na oddziale, ale zdawała sobie sprawę, że to nie wystarczy.

W szpitalu sprawa była prosta. Stale kręcił się koło nich ktoś z personelu, więc rozmowa z konieczności musiała być zdawkowa i nietrudno było zachować spokój i obojętność. Potem przyszedł Sam. Starał się jak mógł okazać, że zamknął tamten rozdział swojego życia i znów jest dobrym mężem.

Ale wizyty na farmie Vicky się bała. Wciąż pamiętała ostatnią: ostre słowa Mary i jej nieprzyjazny wzrok. Wiedziała jednak, że musi przez to przebrnąć, jeśli naprawdę ma się uwolnić od przeszłości.

Poza tym wszystko było związane na ostatni guzik.

Zarezerwowała

już bilet do Australii. Zdecydowała, że na kilka dni zatrzyma się w Singapurze. Nie chciała zaraz po przyjeździe

wysłuchiwać od matki, jaka to jest błada i mizerna.

Postanowiła więc zrobić sobie wakacje w dobrym hotelu i poleżeć na słońcu.

Podniosła głowę znad papierów i kątem oka pochwyciła swoje odbicie w lustrze. O tak, bez wątpienia trzeba jej słońca. Wyciągnęła się na krześle i wróciła myślami do n a

złotej plaży. Gdyby jeszcze nie być tam samej! Gdyby marzenia mogły się spełnić...

- Ach, to ty! - Na widok Adriana w drzwiach dyżurki krew zabarwiła jej policzki. - Właśnie, właśnie...
- Właśnie piszesz zlecenia. - Rzucił okiem na rozłożone na biurku kartki. - Cieszę się, że wydaje ci się to tak pasjonujące.

Vicky odpowiedziała uśmiechem. Starła się odzyskać zimną krew. Adrian wyciągnął się w fotelu po drugiej stronie biurka. Długie nogi przerzucił przez poręcz.

- Podobno wyjeżdżasz w przyszłym tygodniu. - Lustrował ją wzrokiem. - Jakie masz plany?

Vicky wstała i stanęła plecami do niego, przy oknie.

- Najpierw krótkie wakacje, zwiedzanie, a potem praca w Australii, blisko rodziców.

- Co to za praca? - zainteresował się.

- Nic jeszcze nie jest ustalone - odparła szybko. -

Zdecyduję się dopiero na miejscu.

- Jeśli mogę ci jakoś pomóc... - zaczął. - To znaczy, gdybyś potrzebowała referencji, mów śmiało...

- Dzięki - przerwała. W przykry sposób odczuwała niezręczność tej sytuacji. Zachowywali się zupełnie jak obcy. To było nie do zniesienia.

Wstał i podszedł do niej.

- Czemu jesteś taka smutna?

Gdy położył jej ręce na ramionach, zesztyniała. Musi być silna. Nie może mięknąć za każdym razem, gdy jej dotknie.

- Nie jestem smutna! No, może trochę zmartwiona - zaczęła improwizować. - Chodzi o Mary Marshall. Odkąd wyszła ze szpitala, jeszcze u niej nie byłam, a obiecałam. Adrian zmarszczył brwi.

- Nie wiem, czy to dobry pomysł, żebyś tam znowu jechała.

- Po tej jej próbie samobójczej pomyślałam, że może byłam dla niej za ostra.

Jego dłonie wzmocniły uścisk.

- Nie byłaś za ostra, Vicky. Raz w życiu byłaś rozsądna.

Zrobiłaś to, co należało.

Chciała się odwrócić, ale on jej nie puszczał.

- Nic nie poradzę... - powiedziała cicho. - Czuję, że

muszę do niej iść... przez wzgląd na dawne czasy.

Pochylił głowę i lekko pocałował ją w policzek.

- Chyba to właśnie w tobie lubię, Vicky. Tę twoją wrażliwość.

Nigdy nie spotkałem nikogo takiego jak ty i często nie wiem, jak mam z tobą postępować.

- Nijak. Doskonale radzę sobie sama.

Palcem wskazującym uniósł jej podbródek i zajrzał w oczy.

- Zmieniłaś się, Vicky. Sam nie wiem, czy to dobrze.

Dawniej miałaś wypisane na twarzy, co myślisz, a teraz...

- Urwał i ruszył do drzwi. Przed wyjściem przystanął. -

Po południu zawiozę cię na farmę Marshallów. Ktoś ze szpitala powinien zamknąć sprawę i przesłać raport lekarzowi rodzinnemu.

Vicky doznała ulgi. Z Adrianem u boku będzie się czuła znacznie różnie.

- Dzięki. Przyda mi się wsparcie moralne.

Kiedy wyjechali z miasta, znów zaczął padać śnieg.

Drogi, choć oczyszczone rano pługami, znów były częściowo zasypane.

- Oto jedna z rozkoszy mieszkania na północy - zauważył Adrian, włączając wycieraczki. - Trzeba będzie skrócić tę wizytę do minimum.

- Nie miałam zamiaru jej przeciągać. Pół godziny będzie aż nadto. Za sakramentalną herbatkę po prostu podziękujemy.

Ale to się tylko tak łatwo mówiło. Mary Marshall nie przyjęła odmowy do wiadomości. Nikt jeszcze od niej nie wyszedł nie ugoszczony, oświadczyła. No, może raz, kiedy się tak zapomniała, bo przeżywała ciężkie chwile.

- Przebaczyłaś mi, Vicky?

Przerwała nalewanie herbaty i podniosła na nią oczy pełne łez.

- Obie nas trochę poniosło - odparła Vicky z uśmiechem.

- Odwiedzisz nas, kiedy już wrócisz z tej Australii?

Będzie nam cię brakowało. Koniecznie napisz, nie zapomnij.

- Napiszę na pewno.

Pili herbatę, wymieniając uprzejme uwagi, aż w końcu Adrian poruszył temat rzekomego celu ich wizyty.

- Muszę napisać raport w pani sprawie - powiedział łagodnie. - Czy mam rozumieć, że cieszy się pani znowu dobrym zdrowiem?

Mary nieśmiało zerknęła na Sama.

- Nigdy nie czułam się lepiej, doktorze. Jesteśmy z Samem jak dwa gołąbki. Zresztą doktor Melton często do nas zagląda. Właściwie nie ma potrzeby, ale powiada, że lubi mój placek owsiany. Zje pan jeszcze kawałek?

Adrian z uśmiechem potrząsnął głową.

- Dziękuję, pani Marshall, ale nie. Musimy wracać do szpitala. Proszę spojrzeć na ten śnieg. Będziemy mieli szczęście, jeśli uda nam się przejechać przez dolinę.

Wstał i podszedł do okna. Vicky też się zerwała. Wizyta przebiegła lepiej, niż się spodziewała, ale pora była wyjść.

- Odprowadzę was do samochodu - zaofiarował się Sam. - Mary, daj mi szmatę, to przetrę doktorowi przednią szybę.

Vicky usadowiła się w samochodzie. Mary machała do nich z okna kuchni. Adrian pochylił się nad kierownicą i już miał zapalać silnik, gdy pomyślał, że Sam jakoś podejrzenie

długo czyści szybę.

- Dziękuję bardzo, panie Marshall! - krzyknął przez boczne okienko. - Już dobrze widać.

Sam wetknął głowę do środka.

- Chciałem panu powiedzieć, doktorze, że żałuję przed Bogiem, iż poskapiłem tej nerki, kiedy Mark jej potrzebował. Nie miałem pojęcia, że o to tak trudno. Nawet pan nie wie, ile wycierpiałem.

- Myślę, że wiem - rzekł Adrian z namysłem. - Ale nie powinien pan się tak bardzo obwiniać. W tej sprawie grało rolę dużo różnych czynników. Nie wiem, czy Mark panu mówił, że wyraził oficjalne życzenie, żeby jeden z chorych leżący z nim na oddziale dializ miał pierwszeństwo, gdyby kiedykolwiek zaszła konieczność wyboru.

Ta rewelacja wprawiła Vicky w osłupienie.

- Dlaczego Mark wyraził takie życzenie?

- Był wrażliwym chłopcem - uśmiechnął się smutno

Adrian. - Tamten miał żonę i troje maleńkich dzieci. Zdaniem Marka, był bardziej potrzebny na świecie.

Vicky ze ściśniętym gardłem patrzyła, jak ojciec Marka tego słucha.

- Tak - odezwał się wreszcie Sam. Sięgnął do kieszeni, wyłowił chustkę i hałaśliwie wydmuchał nos. - To był dobry chłopak, ten nasz Mark. Zawsze byłem z niego dumny, a teraz... cóż mogę powiedzieć, doktorze, poza tym, że dziękuję panu za wszystko. Różnie między nami bywało, ale myślę, że teraz już wyjaśniliśmy sobie wszystko. Mężczyźni uścisnęli sobie dłonie. Vicky poczuła szczypanie pod powiekami.

- No, to wracam do domu, zanim się zaziębię - oznajmił Sam z przyjaznym uśmiechem. - Niech pan jedzie ostrożnie i uważa na naszą maleńką.

Gdy samochód powoli pokonywał wąską drogę do szosy, oboje milczeli. Śnieg padał coraz większymi płatkami; wycieraczki nie nadążały oczyszczać szyby. Vicky siedziała zatopiona w rozmyślaniach o tym, czego się dowiedziała na temat Marka. Gdyby wiedziała wcześniej! Gdyby nie przypisywała całej winy Adrianowi!

Nagle wyrosła przed nimi ciężarówka. Nie było cienia szansy, żeby ją wyminąć. Adrian spojrział w lusterko, ostrożnie wycofał samochód do miejsca, gdzie ktoś zostawił otwartą furtkę, i zjechał z szosy. Ciężarówka przejechała i podążyła dalej, w dolinę.

Adrian wyłączył silnik i ujął jej dłoń.

- Dobrze, że mam w bagażniku łopatę, bo może będę musiał odkopywać samochód. Chcę z tobą porozmawiać

i nie ma co tego odkładać.

Spojrzała mu w oczy. Jej serce biło jak szalone.

- Ja też chcę z tobą porozmawiać. Dlaczego nie powiedziałeś mi o życzeniu Marka? Dlaczego pozwoliłeś, żebym całą winę złożyła na ciebie?

- Winę? Żadna medyczna decyzja nie wiąże się dla mnie z jakąkolwiek winą. Gdyby było inaczej, byłbym już strzępem człowieka. Nie byłbym zdolny do pracy. Pamiętaj

o tym. Tak jak mówiłem na konferencji: podejmujesz decyzję na podstawie logicznych przesłanek, realizujesz i koniec. Żadnych wyrzutów sumienia.

- Ale gdybym wiedziała... - zaczęła, lecz on potrząsnął głową.

- Żadnych wyrzutów sumienia - szepnął i pochylił się ku niej. - Wiesz, miałaś rację, że wróciłaś do Marshallów. Nie zdawałem sobie sprawy, jak jesteś im droga. Oni rzeczywiście

potrzebują twojej miłości. Dla nich zawsze będziesz dziewczyną, która miała zostać ich synową. Jednak niełatwo jest zerwać z przeszłością.

- Tak. - Vicky westchnęła. - Chyba jakaś częśćka mojej duszy zostanie tu na zawsze, choćbym nie wiem jak starała się zapomnieć. To taka odpowiedzialność. Chciałabym naprawdę zacząć zupełnie nowe życie, ale coś stale przypomina mi o przeszłości.

Przyciągnął ją do siebie. W pierwszej chwili opierała się, ale zmysłowe drżenie, które ogarnęło całe jej ciało, zmusiło ją do kapitulacji. Przytuliła się do jego piersi, czując, że to miejsce stworzone dla niej.

- Dla mnie to chyba nie było aż tak trudne - szepnął.

- Ja już tego dokonałem, ale tobie może się nie udać.

Zatoneła wzrokiem w czułym spojrzeniu jego oczu.

Gdy jego usta się zbliżyły, wstrzymała oddech. Pocałunek był tak delikatny, a przecież tak niepokojący. Wiedziała, że nigdy nie zapomni Adriana, nawet gdyby żyła sto lat i stała się najwspanialszym lekarzem świata. Nigdy nie zapomni tego romansu, tej idylli, czarodziejskich chwil niezmałconego szczęścia...

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Ostatni tydzień Vicky w Northdale dobiegł końca.

Usiadła na walizce i z trudem zatrzasnęła zamek. I czemuż ona taka wypchana? Przez te sześć miesięcy nie miała czasu ani okazji do chodzenia po sklepach. Kupiła sobie

tylko jedną sukienkę... w Paryżu.

W Paryżu! Na samą myśl o tych kilku cudownych dniach z Adrianem jej serce zabiło szybciej. Na zawsze pozostaną opromienione w jej pamięci... podobnie jak ich pożegnanie sprzed zaledwie tygodnia.

Opadła na łóżko i wyjrzała przez okno na brudny, topniejący śnieg, kapiący kroplami z dachów Northdale. Ciekawe, gdzie teraz jest Adrian. Zaskoczył ją wtedy, mówiąc, że wyjeżdża następnego dnia, a pacjentów przejmuje Hartley Dawson.

Wspomniała ich ostatni uścisk w samochodzie. Przywarli do siebie i nie mogli się oderwać; wszak wiedzieli oboje, że to najpewniej ostatni raz. Powiedział, że bardzo sobie ceni ich przyjaźń... Przyjaźń! Cóż za eufemizm! I wspomniał, że gdyby sprawy ułożyły się inaczej, wówczas może...

Nie dokończył, nie powiedział, co miał na myśli. Pocałunek był cudowny, ale pozostawił ją słabą, roztrzęsioną i pełną żalu, że znów pozwoliła dać się ponieść uczuciom. Długie pożegnanie w jego objęciach przysporzyło jej tylko cierpienia.

Potem, gdy spojrzeli na przednią szybę, zobaczyli, że pokryła ją gruba warstwa śniegu. Adrian odkopał i pchał samochód, a ona usiłowała wyprowadzić go z zasy.

Wspólnym wysiłkiem zdołali wyjechać na szosę i dotrzeć do szpitala.

Wtedy widziała Adriana po raz ostatni. Gdy tego samego wieczoru przyszła na dyżur, Hartley Dawson już rozstawał wszystkich po kątach. Nie dał Vicky czasu na zastanawianie się, co by było gdyby.

Do jej świadomości dotarło pukanie do drzwi. Skrzywiła się. Oby tylko nie których z portierów z następnym wezwaniem na oddział. Uważała Adriana za nadzorcę niewolników, ale w porównaniu z Hartleyem Dawsonem był łagodną owieczką!

- Jesteś tam, Vicky?

- Ach, to ty, Pam. Dzięki Bogu! Mam nadzieję, że nie przynosisz mi wieści o następnej robocie?

Pam weszła do pokoju, zdjęła czepek i opadła na fotel przy oknie.

- Znowu zanosi się na śnieżycę. Dokąd jutro jedziesz?

- Muszę się dostać na Heathrow. Wieczorem odlatuję do Singapuru. Posiedzę tam kilka dni, a potem lecę dalej, do Australii.

- Niezła podróż! - Pam gwizdnęła z podziwem. - Nie mówię o locie. Będziesz miała szczęście, jeśli wydobędziesz się z Yorkshire. Dziś rano autostrady były zamknięte. Teraz je otworzyli, bo jest odwilż, ale kiedy wieczorem ściśnie mróz, będą jak lodowisko.

- Mam na to cały dzień - odparła Vicky pewnym tonem, który nie odzwierciedlał jej samopoczucia. - A pociągi będą przecież jeździły.

- Miejmy nadzieję - mruknęła Pam sceptycznie. - Co ci nagle strzeliło do głowy, żeby jechać do rodziców?

- Po prostu nie widziałam się z nimi od wieków - uśmiechnęła się Vicky. - Pomyślałam, że najwyższy czas zdobyć się na ten wysiłek.

- To mi wysiłek! Pomyśleć tylko o tym słońcu! Zazdroszczę ci tej podróży. Ja jestem tu całkowicie uwiązana. No cóż, najpierw Adrian, teraz ty. Będzie mi was brakowało. Vicky westchnęła.

- Adrian i ja nie bylibyśmy w stanie długo pracować razem. Mamy zupełnie inne podejście do medycyny. Ale i tak jako szef nie był tak straszny jak Hartley Dawson. Chwilami już myślę: wróć, Adrian, wszystko przebaczone... Głos jej się załamał, a pod powiekami poczuła łzy.

- A dużo masz do przebaczenia? - spytała cicho Pam.

Ciężar tajemnicy stał się nagle nie do zniesienia.

- Tylko złamane serce.

Usłyszała gwałtowne westchnienie Pam i pożałowała, że nie zachowała tego dla siebie.

- Wiedziałam. Wiedziałam, że coś się stało, kiedy wróciliście z Paryża. Ale dlaczego nie wyszło?

- Za dużo wspomnień. - Vicky odwróciła wilgotne oczy. - I tak nic by z tego nie było.

- A więc to dlatego Adrian był taki zgaszony. Wiesz,

że zawsze mu pomagałam, w szpitalu i poza szpitalem, i teraz też przygotowywałam z nim dom na jego wyjazd. Uderzyło mnie, że jest dziwnie przygnębiony. Myślałam, że może żałuje, iż zdecydował się na tę Malezję... A to z twojego powodu, Vicky. Teraz jestem tego pewna. I nie miej mi za złe, że ci to mówię, ale uważam, że jesteście oboje niespełna rozumu. Nie ma na świecie takiej różnicy, której nie dałoby się...

- Daj spokój, Pam! - Głos Vicky drżał. - Było, minęło.

- Przepraszam cię - powiedziała Pam łagodnie. - Adrian od tylu lat jest dla mnie jak brat. Nie mogę się pogodzić z myślą, że jest nieszczęśliwy. Pewnie dlatego zawsze lecę na każde jego zawołanie... co mi przypomina, że zapomniałam włączyć alarm w jego domu. Wiesz, on już siedział w samochodzie po drugiej stronie rzeki, a ja byłam jeszcze w domu, zamykałam okna i tak dalej... Adrian jest pod tym względem beznadziejny. Trąbił na mnie niecierpliwie,

więc wybiegłam i zapomniałam o alarmie. Przypomniałam sobie dopiero w połowie drogi do Northdale, ale on powiedział, że już za późno, żeby wracać, i żebym go włączyła przy najbliższej okazji. Gryzłam się tym cały tydzień; on ma sporo cennych antyków. Ale przez ten śnieg nie mogłam się tam dostać.

- Mało prawdopodobne, żeby komuś się chciało włamywać w taką pogodę - zauważyła Vicky. Nagle przysła jej do głowy szalona, nieprawdopodobna myśl. - Czy Adrian w końcu zdążył na samolot?

- O, tak. Dzwoniłam na lotnisko. Powiedzieli, że śnieżycy spowodowała czterogodzinne opóźnienie, ale potem samolot wystartował bez problemów. A więc teraz jest już w sercu Malezji. - Na twarz Pam wypłynął serdeczny uśmiech. - Wiesz, Malezja świetnie mu robiła. Chyba tam wreszcie zrozumiał, że nie był w stanie uratować Virginii.

- Zdaje się, że czuł się bardzo winny.

- Zupełnie niesłusznie - odparła porywczo Pam.

Vicky wstała i podeszła do biurka. Nagle zaprzęgnęła zostać sama.

- Przyszłaś w jakiejś określonej sprawie, Pam?

Pam uśmiechnęła się szeroko.

- Myślę, że tobie powinnam powiedzieć pierwszej.

Postanowiłam

przyjąć propozycję małżeństwa. Od Hartleya

Dawsona.

Oczy Vicky rozszerzyło zdumienie.

- Hartley Dawson ci się oświadczył? Ale kiedy?

- Och, robił to wiele razy w ciągu ostatnich trzech lat... a pierwszy raz wkrótce po śmierci żony. Domyślasz się pewnie, że nie jest to jakaś szalona miłość. Bardzo go lubię, a on zapewnia mi wygodne życie. Ma nadzieję, że przed czterdziestką zdążę mu jeszcze urodzić dwójkę dzieciaków. Będą się mogły bawić z jego wnukami. Widzisz, ja nie jestem taka ja ty, Vicky. Jestem realistką w każdym calu i biorę to, co niesie życie. To moja szansa i nie zamierzam z niej zrezygnować. Nie każdemu pisane jest prawdziwie wielkie uczucie.

- Chyba masz rację - szepnęła Vicky. - Mam nadzieję, że będziesz bardzo szczęśliwa, Pam.

- Mam zamiar. Uważam, że to my budujemy swoje szczęście. Samo nie spada z nieba. - Wstała i przetarła szybę. - Ale odwilż. Gdybym nie miała dyżuru, pojechałabym dziś włączyć alarm u Adriana.

- Ja to zrobię za ciebie - wyrwało się Vicky spontanicznie. Samą ją zaskoczyły własne słowa. Nie miała pojęcia, co ją podkusiło. Może po prostu chciała pożegnać dom, który pokochała prawie tak, jak jego właściciela?

- Naprawdę, mogłabyś? Zdjęłabyś mi ciężar z serca. Pożyczę ci mój samochód. Jedź ostrożnie. Na szosie będzie chlapa. No i wracaj, zanim mróz ściśnie na nowo. Teraz posłuchaj, co trzeba zrobić. Wezmiesz klucz od drzwi frontowych...

Vicky zerknęła przez przednią szybę samochodu Pam na wąską drogę przed sobą. Jak dotąd wszystko szło dobrze. Przez dolinę przejechała bez kłopotów, tylko ten ostatni kawałek, dojazd do rzeki był zdecydowanie trudniejszy.

Jeden fałszywy ruch i mały samochód może runąć do wezbranej wody...

Nerwowo zaciągnęła hamulec. Stała kilka metrów od brzegu. Udało się! Spojrzała przez rzekę, podziwiając oświetlenie domu. Wyglądał zupełnie tak, jakby ktoś tam był. Pomyślała, że właściwie ten alarm jest już zbędny. Nagle serce podskoczyło jej w piersi, a skóra okryła się gęsią skórką. Po salonie ktoś chodził! Włączyła silnik. Jeśli to włamywacz, nie ma zamiaru udawać bohaterki! Jedzie do najbliższego telefonu i dzwoni na policję.

Ale postać wyszła z salonu i po chwili otworzyły się drzwi wejściowe. W progu, w kręgu światła, pojawiła się męska sylwetka. I to był... ależ to niemożliwe... przecież on jest w Malezji... to musi być przywidzenie...

- Adrian! - krzyknęła co sił w płucach i pognąła przez most, nie zważając na przenikliwy wiatr i śnieg, który właśnie znów zaczął padać.

- Vicky!

Biegł ku niej z wyciągniętymi ramionami. Rzuciła się w jego objęcia i ukryła twarz w miękkim, moherowym swetrze. Włoski wełny połaskotały ją w nos i kichnęła gwałtownie, zupełnie nieromantycznie.

- Chyba oszalałaś, żeby przyjeżdżać tu po nocy. - Odsunął ją delikatnie, by móc spojrzeć jej w oczy. - Co ty tu robisz?

- Mogłabym ci zadać to samo pytanie - roześmiała się.

- Miałaś przecież być w Malezji.

Znów ją przytulił.

- Wyjaśnię ci w środku.

Na kominku płonął ogień. Było dokładnie tak, jak w jej wspomnieniach, ilekroć sobie na nie pozwalała. Ale tym razem to rzeczywistość. On tu jest naprawdę!

Rzuciła płaszcz i wtuliła się w miękką kanapę. Adrian przyniósł jej kieliszek brandy i kazał wypić.

- Ależ ja muszę wracać - zaprotestowała.

- Masz dyżur?

- Nie.

- To zostajesz. Pij swoją brandy, dziewczyno, to może wróca ci kolory. Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha.
- Bo też tak mi się zdawało - powiedziała, sącząc piekący płyn i delektując się rozkosznym ciepłem, które rozlewało się po jej ciele. - Przyjechałam tu, żeby włączyć alarm za Pam.

- Ach, więc o to chodziło! - Zaśmiał się. - Ja jestem tu dokładnie z tego samego powodu. Kiedy już podrzuciłem Pam do szpitala i ruszyłem do Londynu, zacząłem myśleć o wszystkich moich cennych antykach i pamiątkach... o rzeczach, których straty nie wynagrodziłyby mi żadne pieniądze z ubezpieczenia. Postanowiłem zadzwonić na lotnisko. Powiedziano mi, że samolot ma czterogodzinne opóźnienie. Zawróciłem więc i przyjechałem tutaj. Ale jazda była coraz trudniejsza i kiedy wreszcie dotarłem na miejsce, pomyślałem, że właściwie mogę spędzić tu część wakacji. Zadzwoniłem na lotnisko jeszcze raz i przełożyłem lot.

- Przecież miałeś lecieć do pracy!

- Do pracy, ale najpierw postanowiłem zrobić sobie wakacje. Potrzebowałem czasu, żeby pewne rzeczy przemyśleć.

W kącie tykał wielki, stojący zegar, na kominku trzaskały drwa, a wiatr pojękiwał w kominie. Było tak przytulnie. Nagle z paleniska wyskoczyła płonąca szczapa i spadła na dywanik przed kominkiem. Adrian zerwał się, chwycił szczypce i rzucił ją z powrotem do ognia.

Gdy znów usadowił się na kanapie, Vicky przytuliła się do niego.

- Tak się cieszę, że tu jesteś, Vicky - szepnęła. - Zbyt długo byłem sam.

Jej miłość tliła się jak płomyk, gotowa wybuchnąć. I nagle poczuła, że musi poznać prawdę o jego żonie. Teraz już nic nie ryzykuje, odrzucając ostrożność.

- Pewnie bardzo kochałeś Virginie - szepnęła.

- Taki bardzo. Ale to było dawno i już to przeboleiałem.

Pogodziłem się nawet z myślą, że nie mogłem jej uratować.

- Czy miałeś coś wspólnego z tą decyzją, Adrian? -
spytała łagodnie.

Skinął głową, a w jego oczach odmalował się ból.

- Było nas trzech, ale mój głos mógł przeważać szale.
Wiedziałem, że z etycznego punktu widzenia nerka należała
się tej drugiej osobie, która miała jeszcze mniej szans
niż Virginia. Modliłem się... miałem nadzieję, że druga
nerka przyjdzie na czas... ale nie przyszła.

Gdy na niego patrzyła, żal ścisnął jej gardło. Widziała
jego udrękę. Cokolwiek mówił o braku wyrzutów sumienia,
był przecież tylko człowiekiem. Cierpiał tak samo, jeśli
nie bardziej niż ona. Ona nie miała wpływu na los Marka,
podczas gdy on...

- Jak długo to trwało, zanim pogodziłeś się z myślą, że
postąpiłeś słusznie? - spytała.

Jego oczy wpatrzyły się w nią badawczo.

- Uważasz, że postąpiłem słusznie?

- Tak. Rozważyłeś wszystkie ewentualności i podjąłeś
jedyną możliwą decyzję.

Uśmiechnął się łagodnie i nachylił ku niej, a jego usta
musnęły jej wargi z lekkością motyla.

- Zmieniłaś się, Vicky.

- Ty też... Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie.

Kiedy zaakceptowałeś rzeczywistość?

Opadł na poduszki kanapy, pociągając ją za sobą.

- Wkrótce potem, kiedy poznałem ciebie. Ciągłe mąciłaś
wodę, każąc mi wciąż na nowo przemyśliwać swoje
racje. I uprzytomniłem sobie, że możemy sobie dużo dać,
nawet jeśli różnimy się diametralnie w wielu kwestiach.
Zrozumiałem też, że pewnego dnia moglibyśmy zgodzić
się w jednym: że jesteśmy w sobie zakochani.

Poczuła, że brakuje jej tchu.

- Pewnego dnia? A kiedyż to miałby nadejść ten mityczny
dzień, zważywszy, że ty byłbyś w jednym kraju, a ja
w innym?

- Po tym, kiedy pchnąłem cię we właściwym kierunku,
postanowiłem nie pozwolić ci zniknąć z mojego życia.
Miałem zamiar skontaktować się z tobą prędzej czy później.

Ale chciałem, żebyś najpierw zobaczyła się z rodzicami i przypomniała sobie, jaka byłaś, zanim związałaś się z Markiem i jego rodziną. Cały czas sądziłem, że nie uda nam się zbudować trwałego związku, dopóki ty nie uwolnisz się od przeszłości. Gdy zobaczyłem cię w zeszłym tygodniu z Marshallami, uznałem, że jeszcze nie czas. Postanowiłem

zaczekać. Pomyślałem, że dobrze się stanie, jeśli pojedziesz do rodziców, że to pomoże ci odzyskać równowagę psychiczną.

Vicky wpatrzyła się w niego zdumionymi oczami. W jej myślach panował chaos.

- Nadal nie rozumiem, dlaczego tu jesteś.

Przeczesał palcami potargane włosy.

- Ani ja. To był impuls. Poczulem nagle gwałtowny przymus, żeby wszystko rzucić i zaszyć się tutaj. Nie miało to żadnego sensu, ale poszedłem za tym głosem.

Wtuliła się w jego ramiona.

- Pamiętasz ten wieczór, kiedy widzieliśmy spadającą gwiazdę?

Skinął głową i przytulił ją mocniej.

- Może dlatego zostałeś. Wtedy to się wydawało niedorzecznością.

.. i dziś niedorzecznością było jechać tutaj po nocy...:

Uciszył ją długim, czułym pocałunkiem.

- Kocham cię za to, Vicky - szepnął, gdy się od niej oderwał. - Za to, że jesteś taka nieobliczalna i uczuciowa.

W pracy chyba nauczyłaś się postępować realistycznie, ale nigdy nie zmieniaj swojej osobowości. Kocham cię taką, jaka jesteś. Co prawda raz już mnie odrzuciłaś, ale czy nie sądzisz, że teraz mogłabyś zmienić plany? Propozycja pracy jest aktualna,

wolałbym jednak, żebyśmy najpierw wzięli ślub.

- Ślub? - Zaskoczona, podniosła rękę do ust. - Czy ty wiesz, co mówisz, Adrian?

Ujął obie jej dłonie.

- Ślub, no wiesz, to się zdarza. Nawet takim jak my,

których koncepcje co chwila się ścierają. Dzięki temu nasze życie małżeńskie będzie ciekawsze niż przeciętnych par.

Co ty na to?

Jej serce oszalało, w głowie miała kompletną pustkę.

Wiedziała jedno: że chce spędzić resztę życia z Adrianem.

Miał rację co do ich sporów. To tylko doda ich życiu smaku.

Przyciągnął ją bliżej.

- Odezwij się, Vicky. Nigdy nie słyszałem, żeby zabrakło ci słów.

- Zastanawiałam się, jak to wszystko urządzić - zaczęła, ale on znów przerwał jej pocałunkiem. '

- To proste - rzekł, gdy musieli nabrać tchu. - Polecimy na Wschód. Zadzwoń na lotnisko i zarezerwuję dwa bilety na lot do Singapuru. Pobędziemy tam kilka dni i polecimy do Australii, gdzie weźmiemy ślub. Potem możemy przenieść się do Malezji. Możemy pracować razem, możemy od razu mieć dziecko, co tylko zechcesz...

- Zaraz! Przecież jeszcze nawet nie powiedziałam, że się zgadzam!

Wszystko działo się tak szybko, ale wiedziała, że tego właśnie pragnie. Jej życzenie się spełniło. Wyciągnęła do niego ręce, a on ujął je i przycisnął do ust.

Dużo później, gdy leżeli na górze w szerokim łóżu,

Vicky zwinęła się w kłębek u boku Adriana i westchnęła uszczęśliwiona.

- A jeśli ten śnieg dalej będzie tak padał? Nie wydostaniemy się z tej doliny.

- No to co? Mamy tu wszystko, czego nam potrzeba.

Ale załatwmy sprawę z lotniskiem.

Sięgnął po telefon. Po kilku minutach odłożył słuchawkę i odwrócił się ku niej.

- Wszystkie loty odwołane.

Uśmiechnęła się.

- Wygląda na to, że zostaniemy tu dłużej.

- Mam nadzieję - powiedział, tuląc ją do siebie z całego serca.